Opłata pocztowa uiszczona gotówką.

ŁOWIEC POLSKI



Bór w okiści. Z serji, nagrodzonej I nagrodą na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego". Fot. W. Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 1 (849) 1 STYCZNIA 1937 R.



Miś w kąpieli. Sołotwina Mizuńska. Z serji, odznaczonej srebrnym żetonem na konkursie „Łowca Polskiego". Fot. W. Burzyński.

ZATWIERDZENIE NOWEGO STATUTU POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO.

Tak się zbiegło, że w pierwszym numerze „Łowca Pol." na 1937 r., wraz z noworocznemi życzeniami możemy podać do wiadomości Czytelników „Ł. P." i wszystkich tych, którym przyszłość łowiectwa polskiego leży na sercu, fakt radosny i pierwszorzędnego znaczenia: — nowy statut Polskiego Związku Łowieckiego został zatwierdzony przez władze!

Od dziś jesteśmy zatem „Polskim Związkiem Łowieckim"!

Kilkoletnie wysiłki nad obmyśleniem ram organizacyjnych, w których ma się rozwijać łowiectwo polskie, nie poszły na marne i dziś już mamy organizację, która pozwoli wszystkim myśliwym Polski wziąć na swe barki przyszłość łowiectwa polskiego i odpowiedzialność za jego dalsze losy.

Co więcej, z inicjatywy władz, które wykazały jak najdalej posuniętą dobrą wolę i zrozumienie dla potrzeby przeprowadzenia zamierzeń Związku w dziedzinie organizacyjnej, wprowadzone zostało do statutu postanowienie, mocą którego Polski Związek Łowiecki powołany jest do reprezentowania łowiectwa polskiego zarówno w kraju, jak i nazewnątrz. Już nie jesteśmy zwykłem stowarzyszeniem, jednem z wielu, mogącem współdziałać z władzami w zwalczaniu przestępstw łowieckich, lecz organizacją, której troska o losy łowiectwa została specjalnie powierzona. Nie potrzeba wyjaśniać, jaką to daje pozycję Związkowi pośród innych stowarzyszeń, które również chciałyby się łowiectwem zajmować.

Otrzymaliśmy zaszczytną misję i musimy teraz dbać o to, by zadaniom swoim umieć sprostać.

Wobec nowych możliwości, jakie przed łowiectwem polskiem się otwierają, wskazanem jest rozejrzeć się w sytuacji i zdać sobie sprawę z położenia, w jakiem się w obecnej chwili znajdujemy.

Chociaż łowiectwo polskie, dzięki wysiłkom jednostek i pomocy rządu, potrafiło uratować od zagłady przedwojenną faunę ziem polskich, choć nawet naogół potrafiliśmy doprowadzić nasze zwierzostany do norm przedwojennych, a nawet w niektórych wypadkach je przekroczyć, choć wreszcie łowiectwo polskie zyskało sobie w pewnej mierze uznanie zagranicy, to musimy sobie otwarcie powiedzieć, że pod względem organizacyjnym, pod względem podniesienia kultury łowieckiej szerokich mas myśliwskich ustępujący wciąż znacznie jeszcze wielu narodom. Po tem, co w tym zakresie zostało dokonane w Bułgarji, Jugosławji, Czechosłowacji, we Włoszech i przedewszystkiem w Niemczech, musimy sobie powiedzieć, że znaleźliśmy się, przynajmniej chwilowo, na jednym z końcowych miejsc pośród narodów Europy. Stało się to mimo, że prace zarówno nad doprowadzeniem

naszego ustawodawstwa łowieckiego, jak i należytem zorganizowaniem rzesz myśliwskich, podjęte zostały już od kilku lat i że dezyderaty nasze już od dość dawna przyjęły formę całkowicie i szczegółowo opracowanych projektów noweli do ustawy łowieckiej i statutu Polskiego Związku Łowieckiego. Niestety, realizacja tych projektów z różnych powodów uległa opóźnieniu i dziś dopiero możemy jej początek witać w zatwierdzeniu nowego statutu Związku.



Przed spoczynkiem. Fot. J. Moszczyński.

Jest to jednak bodaj najważniejsze zamierzenie nasze. Zwierzostany i fauna danego kraju są przedewszystkiem pochodną kultury łowieckiej jego myśliwych i poziom tej kultury jest najpewniejszą gwarancją zachowania dla przyszłych pokoleń tego bogactwa kraju, jakie tkwi w jego zwierzostanach i faunie. Żadne najlepsze nawet ustawodawstwo łowieckie, jeśli nie znajdzie głębokiego oddźwięku i posłusznych a chętnych i świadomych wykonawców w szerokich masach łowieckich, nie dokona tego, co jest zadaniem tego ustawodawstwa — nie ochroni fauny od coraz szybciej postępującej zagłady. Przeciwnie, należytym duchem przejęte i należycie zorganizowane szerokie rzesze łowieckie potrafią zawsze wywalczyć potrzebne warunki dla utrzymania i rozwoju zwierzostanów swego kraju. W możności więc należytego zorganizowania się dla osiągnięcia tych celów uzyskał nasz świat łowiecki potężny środek, który pozwoli mu wyzyskać wielkie możliwości, jakie się przed nim otwierają.

Zyskaliśmy organizację, która niejako automatycznie będzie wszystkie najlepsze i oddane sprawie rozwoju łowiectwa w Polsce siły absorbować i wysuwać je ku górze, spychając jednocześnie ku dołowi, do wyłączenia ze Związku włącznie, wszystkie te elementy, któreby chciały jedynie żerować na pracy drugich i wyniszczać z takim trudem podnoszone zwierzostany. Zyskaliśmy organizację, która nietylko zdolną będzie, jak dotychczas, reprezentować łowiectwo polskie w kraju i wobec zagranicy, i wywalczać dla łowiectwa potrzebne ustawy i zarządzenia władz, ale także organizację, zdolną wniknąć jak najgłębiej w miejscowe stosunki i potrzeby i dać należytą obronę lokalnych interesów myśliwych w terenie.

Słowem przy odpowiednich wysiłkach i zapale mamy wszelką możność wysunąć Polskę pod względem organizacji jej rzesz myśliwskich na jedno z naczelnych miejsc w Europie.

Mam niezłomną wiarę, że tej sposobności nie zmarnujemy, że znajdziemy dość sił, zapału, by łowiectwo polskie pchnąć na nowe tory.

Do sprawy reorganizacji Związku i wprowadzenia w życie nowego statutu będziemy jeszcze wielokrotnie na łamach „Łowca Pol." musieli powracać. Dziś kończę konkretnym apelem do wszystkich myśliwych Polski:

Korzystajcie z otwartej przed Wami możliwości bezpośredniego należenia do Związku, bezpośredniej pracy nad podniesieniem łowiectwa naszego, zapisujcie się na członków zwyczajnych i nadzwyczajnych Związku! Do szeregów — myśliwi!

A do Łowczych Powiatowych, których rola w nowej organizacji Związku jest pierwszorzędnego znaczenia, zwracam się z wezwaniem: w tej tak ważnej dla rozwoju Związku chwili wytężcie wszystkie siły, aby należycie zorganizować powierzone waszej opiece powiaty, tak, aby już w najbliższych miesiącach można było przystąpić do zwoływania Walnych Zgromadzeń Powiatowych.

WALENTY GARCZYŃSKI.

*

Informacje: Łowczowie Powiatowi będą w najbliższym czasie ustanowieni przez oddziały Związku.

W najbliższym również czasie zostaną przygotowane deklaracje i legitymacje dla członków zwyczajnych i nadzwyczajnych Związku, rozesłane organom Związku i należącym doń kółkom, tak, że w najbliższych miesiącach wszyscy myśliwi będą mogli sprawę swego należenia do Polskiego Związku Łowieckiego uregulować.

Statut Związku będzie również wydrukowany niebawem i do otrzymania względnie do nabycia za przystępną cenę w redakcji „Łowca Polskiego".

REFERAT ŁOWIECKI PRZY WŁADZACH ADMINISTRACJI OGÓLNEJ I WSPÓŁDZIAŁANIE Z NIM DELEGATÓW ŁOWIECKICH.

W nr. 28 „Łowca Polskiego" z 1 października 1936 r. umieszczono bardzo ważny dla łowiectwa okólnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, wydany w porozumieniu z Ministerstwem Rolnictwa i Reform Rolnych, do podległych władz z dnia 27 sierpnia 1936 nr. A. P. 18/9-7, ogłoszony w Dzienniku Urzędowym Min. Spraw Wewnętrznych Nr. A i B poz. 174.

Okólnik ten, wydany niezawodnie na skutek starań Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, stanowi punkt oparcia dla działalności delegatów łowieckich. Z tym okólnikiem w ręku, może delegat zjawić się u starosty i, przedstawiając swoją legitymację delegacką, upomnieć się o prawo współdziałania w sprawach łowieckich powiatu. Jednak jako długoletni referent łowiecki, a także delegat łowiecki, miałem możność praktycznie zauważyć, że na to, by była współpraca, musi być znany dokładnie zakres obowiązków i zadań, leżących tak po stronie referenta, jak i delegata, a dopiero po dokładnem poznaniu tych zadań po obu stronach można mówić o współpracy.

Tymczasem sama ustawa łowiecka z 3 grudnia 1927, poza postanowieniami prawa materjalnego łowieckiego, nie daje referentowi wskazówek, jak ma referat prowadzić, a także poza przestarzałą już i do przedwojennej galicyjskiej ustawy łowieckiej dostosowaną „instrukcją dla delegatów M. T. Ł.", nie znam jakichkolwiek instrukcyj, wydanych dla obecnych delegatów łowieckich*).

Stąd jedni i drudzy muszą być zdani na własną intuicję, stąd wypływają narzekania na brak dostatecznego zainteresowania się tym ważnym działem gospodarstwa krajowego.

Zdaję sobie sprawę, że w artykule czasopisma, choćby fachowego łowieckiego, nie będzie możliwem wyczerpać tematu, jednak pokuszę się naszkicować te zadania, które przy prowadzeniu referatu i sprawowaniu funkcji delegata należy wykonać.

Referent łowiecki winien sprawdzić, czy ma u siebie w porządku następujące ewidencje:

1. Wykaz obwodów łowieckich wspólnych i własnych. Obwody te powinny być wpisane według gmin, a w obrębie tychże według gromad w porządku alfabetycznym. Cały powiat powinien być pokryty zarejestrowanemi obwodami. Gdzie ich niema, trzeba spowodować rejestrację po myśli art. 6 do 11 ustawy łowieckiej. Rejestracja następuje na podstawie postępowania edykalnego, t. j. starosta ogłasza zgłoszenie obwodu przez miesiąc na tablicy i w sąsiednich gminach, względnie powiatach, rozstrzyga sprzeciwy i przedstawienia, i wreszcie ogłasza granice obwodu i rejestruje go. Takie postępowanie jest konieczne przed każdem sześcioleciem, gdyż w ciągu tego okresu mogą zajść zmiany, np. wskutek parcelacji dotychczasowego obwodu własnego. Takie ustalenie obwodu winno być rozpoczęte w rok przed upływem sześciolecia i ukończone w takim czasie, aby można było w czas przeprowadzić wybory Zarządu Spółki łowieckiej, która ma prawo po myśli art. 20 ustawy wypuścić obwód wspólny w dzierżawę. Gdyby z powodu protestów od wyborów Zarządu Spółki łowieckiej jej skład przed upływem sześciolecia nie mógł być ustalony, to dawny Zarząd, przedłuża dotychczasowemu dzierżawcy prawo polowania jeszcze na jeden rok, a gdyby dzierżawca na dalszy rok nie reflektował, pozostawi prawo polowania niewydzierżawione. Dopiero nowo wybrany Zarząd ma po myśli art. 20 prawo wydzierżawiania na okres nie krótszy, niż 6-letni, a więc na okres swego urzędowania. Brak pod tym względem bliższych postanowień ustawy doprowadza częstokroć do nieporządków w prawie wykonywania polowania, co jest połączone ze szkodą dla łowiectwa.

Drugą ewidencją, którą winien prowadzić referent jest:



Na stanowisku. Fot. Inż. E. Woynicki.

2) Ewidencja Zarządów Spółek Łowieckich i (według dotychczasowej ustawy) Przewodniczących Sądów Rozjemczych, właściwych dla odnośnego obwodu (art. 60).

W tej ewidencji, należy dokładnie notować czas urzędowania Zarządu i dopilnować, aby nowy Zarząd był zawczasu, a więc przed upływem sześciolecia, wybrany.

Trzecią ewidencję stanowi:

3) Ewidencja posiadaczy kart łowieckich.

Odpis tej ewidencji powinien co 1-go kwietnia każdego roku otrzymywać Pow. Komendant Policji Państwowej, co mu pozwoli wyśledzić tak zw. legalnych kłusowników. Tu należy zwrócić uwagę, że każdy dzierżawca obwodu wspólnego musi mieć kartę łowiecką i w razie niewykupienia jej w terminie, traci prawo dzierżawy polowania.

Wreszcie czwartą ewidencją jest:

4) Ewidencja przekroczeń łowieckich, rozpatrywanych przez władze administracyjne, jakoteż przez Sądy.

Co do tych ostatnich, winien referent wejść w kon-

*) Wszakże istnieje instrukcja dla delegatów powiatowych, wydana przez P. Z. S. Ł. *(Przyp. red.)*.

takt z miejscowym sędzią karnym, aby o wynikach rozpraw sądowych zawiadamiał Starostwo.

Ponieważ od orzeczeń karnych władz administracyjnych przysługuje ukaranemu prawo odwołania się do Sądu Okręgowego, przeto winien referent łowiecki przy przesyłaniu aktów Sądowi Okręgowemu prosić o zawiadomienie Starostwa o terminie rozpraw, celem obrony wydanego orzeczenia, bądź osobiście, bądź dla zaoszczędzenia czasu i kosztów — przez referenta, w siedzibie Sądu Okręgowego. W każdym razie o wyniku odwołania winien być referent łowiecki powiadomiony i zapisać go w swej ewidencji.

Ponieważ personel władz administracyjnych, a także referent łowiecki, jest przeważnie przeciążony rozmaitemi innemi zadaniami i referatami, przeto dla delegata łowieckiego w miejscu siedziby Starostwa (a taki winien być w każdym powiecie) nastręcza się wdzięczne pole do współpracy przy prowadzeniu tych ewidencyj.

Osobnem zadaniem referenta i delegata łowieckiego jest statystyka łowiecka. Formularze dla tej statystyki winien otrzymać delegat, obecnie „Łowczy powiatowy", od centrali, dla utrzymania jej jednolitości. Formularze te wypełnione nazwą obwodu i uporządkowane według gmin, w porządku alfabetycznym gromad, winien delegat z początkiem roku myśliwskiego, a więc po pierwszym marca, wręczyć referentowi łowieckiemu do rozesłania, a odebrać formularze już wypełnione przez myśliwych, dotyczące ubiegłego roku myśliwskiego.

Na podstawie otrzymanych formularzy, sporządza delegat zestawienie powiatowe w trzech egzemplarzach: jeden dla Starostwa, drugi dla swojego Oddziału, a trzeci dla swojej Powiatowej Rady Łowieckiej.

Zdaję sobie sprawę, że wielu delegatów po przeczytaniu powyższego będzie mieć wątpliwości, czy taka współpraca delegata z referentem łowieckim będzie możliwa do przeprowadzenia. Proszę jednak spróbować. Początki będą trudne, potem ta współpraca sharmonizuje się i da dużą satysfakcję delegatowi, a przyczyni się w wielkiej mierze do podniesienia tej ważnej gałęzi gospodarstwa krajowego, jakiem powinno być łowiectwo w Polsce.

A. ULM.

SIENKIEWICZ NA POLOWANIU.

W feljetonie, poświęconym „Łowom Sienkiewicza" (Nr. 34 „Łowca Pol." 1936) p. Mieczysław Mniszek Tchorznicki zwrócił się do mnie z pochlebnym i uprzejmym apelem, abym dla czytelników „Łowca Pol." skreślił osobiste, bezpośrednie wspomnienia z polowań, odbytych z wielkim pisarzem. Czynię tedy zadość jego i Redakcji życzeniu.

S. K.

Kiedy po 10-letnim blisko pobycie zagranicą, z końcem roku 1906 wróciłem do Warszawy, Sienkiewicz liczył już lat 60. Aczkolwiek był w pełni sił fizycznych i umysłowych, gospodarzył niemi rozważnie. Polowanie miało dlań nieodparty powab, dość rzadko jednak zezwalał ochocie myśliwskiej odrywać się od pracy pisarskiej, która była jego najwyższą pasją. Rzadko dawał się uprosić; najchętniej, gdy towarzystwo myśliwskie składało się z miłych mu osób.



W drodze na stanowiska (Grębów). Fot. Dyr. A. Piasecki.

Z pośród polowań, na których miałem sposobność spotkać się z twórcą „Trylogji", dwa szczególnie wraziły mi się w pamięć: w Sokolnikach pod Zegrzem i w Pawłowicach pod Sochaczewem.

Sokolniki należały wtedy do p. Boettichera, lecz polowanie na terenach tego majątku dzierżawił mój przyjaciel Juljusz Herman, ówczesny prezes warszawskiej „Zachęty Sztuk Pięknych", myśliwy zamiłowany, kompan niezrównany. Było tam koło czterdziestu włók dobrego lasu, różnodrzewnego i przeważnie — suto podszytego, a w kilku miejscach wilgotnemi łączkami przerwanego, — i prawie że drugie tyle pól w wysokiej kulturze. Polowaliśmy tam na kozły (w dużej ilości), na lisy, zające, króliki, bażanty i kuropatwy. Na stawach były kaczki i ptactwo błotne.

Dwudniowe polowanie zimowe bywało bardzo przyjemne ze względu na obfitość i rozmaitość zwierzyny; w tych czasach strzelano jeszcze w nagankach do kozłów.

Szczególną cechą tych meetingów był dobór myśliwych. Herman, bogaty dyletant — intelektualista, malarz i muzyk, obracał się wyłącznie w towarzystwie literatów i artystów. Więc w tych polowaniach sokolnickich uczestniczyli, prócz gospodarza i mnie, Weyssenhoff, Wł. Rabski, Franciszek Ejsmond, Michał Wywiórski, Miłosz Kotarbiński, Ksiądz Zygmunt Chełmicki, Adam Breza, Zygmunt Bartkiewicz. Częstymi gośćmi bywali Stanisław Lilpop i Boetticher. Raz jeden przyjął zaproszenie Sienkiewicz.

Zważywszy na znakomitego gościa, Herman tym razem zorganizował przyjęcie i łowy z wystawną starannością. Myśliwi mieli zarezerwowane w Ozorkowie całe piętro niewielkiego hotelu. Nocleg był wcale wygodny, kucharz z wykwintnemi zapasami przybył z Warszawy. Myśliwi zjechali się w przeddzień wieczorem.

Pogoda dopisała. Śnieg, lekki mróz. Wczesnym rankiem sznur sanek ruszył w stronę Sokolnik, oddalonych zaledwie o trzy kilometry od miasta. Myśliwi szybko zajęli stanowiska, naganka ruszyła. Zaraz posypały się strzały.

Sienkiewicz był w doskonałym humorze. Uśmiechnięty, pogodny, dla wszystkich grzeczny i życzliwy. Bliską, wieloletnią przyjaźnią skojarzony z ks. rektorem Chełmickim, przekomarzał się z nim ustawicznie. Strzelał celnie, dalszych i mniej pewnych strzałów unikał. O ile pamiętam, wtedy gładko sprzątnął lisa, wpadającego z gęstej drągowiny w zwartą ścianę kultur. Z królikami na wąskich duktach trudniej sobie radził.

Nasza zwykła kompanja myśliwych, poufale zgrana, była ożywiona i wesoła. Sprzeczano się czasem o zwierzynę i strzały, lecz tych sporów nikt nie brał poważ-

nie. Weyssenhoff, gdy zwierzyna nań nie szła, zwykł być winić złą organizację polowania, zachłanność sąsiadów i niesprawiedliwość losu. Ejsmond nadto się cieszył, gdy królował, natomiast gdy był na szarym końcu, stawał się ponurym i zgryźliwym. Z goryczą wtedy odzywał się o temperamencie Rabskiego, którego w kotłach polnych nie można było utrzymać w ryzach.

— Czemu nie wygarniesz do niego? — odpowiadano Ejsmondowi z fałszywą serdecznością.

Breza był niewyczerpany w kawałach i dowcipach. W przerwach między jednym a drugim miotem robił się chwilami taki gwałt, że p. Boetticher, ambitny o wynik polowania, błagał Hermana o uspokojenie niesfornych gości.

Sienkiewicz czuł się dobrze w naszem towarzystwie. Może przypomniały mu się dawne kolacje u „Andzi" Czuleńskiej, na rogu Niecałej i placu Teatralnego, niezliczone figle, płatane Edwardowi Lubowskiemu. Piękna i mądra twarz siwiejącego już wówczas pisarza jaśniała uśmiechem, podsycając ogólny, radosny nastrój.

Śniadanie jedliśmy w zgiełku i pośpiechu w leśniczówce. Jeszcze parę zakładów — i powrót do Ozorkowa.

Po krótkim wypoczynku schodzimy się na obiad do sali jadalnej. Breza spróbował już starki. Zapewnia, że cudo. Weyssenhoff chwali zakąski. Ucichły rozmowy, kieliszki we wszystkich rękach. Wtem z otwartych drzwi przyległego pokoju uderza w nas piekielnym rejwachem uroczysty polonez. Poruszyliśmy się wszyscy, wzburzeni. Cóż to ma znaczyć? W progu stanął właściciel hotelu i rozpromieniony, kłania się wdzięcznie. Muzyka jest jego niespodzianką na cześć twórcy „Trylogji". Grzmi z coraz większym impetem. Robi się tumult. Breza grozi, że będzie strzelał, jeśli muzykanci zaraz nie odejdą. Herman, zawsze delikatny, nie chciałby robić przykrości dobrym ludziom.

Ktoś spojrzał w okno. Przed hotelem gromadzi się zbiegowisko. Hotelarz z przymilnym uśmiechem objaśnia:

— Już cały Ozorków wie, kogo ma zaszczyt dzisiaj gościć.

Teraz i Sienkiewicz zaniepokoił się. Ksiądz Chełmicki podchodzi do hotelarza i wali surowym tonem:

— Pan nie wie, że pan Sienkiewicz bawi tutaj incognito?

Rabski, jak gdyby czekał tylko na wezwanie, woła tragicznie:

— Pan nie wiesz, że incognito?

Tu huknął Breza:

— Że incognito?...

Wytrącony z równowagi, obywatel ozorkowski wodzi po nas przerażonemi oczyma. Do dziś dnia nie wiem, czy zrozumiał znaczenie tajemniczego wyrazu. Ale łydki mu drżały. Zastanowił się, westchnął i rzucił krótki rozkaz orkiestrze: — Cicho!

Inny myśliwy wskazał na ulicę.

W oczach hotelarza zaświecił chytry uśmieszek.

— Powiem im, że to wcale nie ten pan Sienkiewicz, co pisze... Że ten handluje ceratą.

Służba zasłoniła okna i zasiedliśmy do obiadu. Niebawem szampan perlił się w szklankach, Herman w paru słowach wzniósł zdrowie znakomitego gościa, ks. Chełmicki ze zwykłą mu swadą odpowiedział toastem na cześć gospodarza. Wtedy Weyssenhoff zwrócił się do Hermana.

— Rabski już od kwadransa nic nie mówi. Na pewno rodzi toast. Trzeba prosić, żeby powiedział jak najprędzej, to będzie krótszy.

Rabski wstał i z miejsca dowcipnie odciął się „baronowi". Poczem wygłosił zgrabny wiersz, z patetycznym w zakończeniu zwrotem pod adresem Sienkiewicza. I już rozmowa stała się intymną i powszechną. A gdy podano kawę, wszystkie krzesła zbliżyły się do Sienkiewicza, który zaczął mówić o swoich niedawnych przeżyciach myśliwskich w Afryce. Służba usunęła się. Słuchaliśmy w skupieniu. Czasem wyrywały się dodatkowe pytania. Wielki mistrz pióra nie skąpił nikomu odpowiedzi, a tok jego nararcji wywierał przedziwny urok.

Nazajutrz polowaliśmy znów. Sienkiewicz z ks. Chełmickim wyjechali zaraz po śniadaniu.

Sokolniki należą obecnie do bar. Aleksandra Rozstockiego. Polowania w dalszym ciągu są obfite w zwierzynę, wybornie zorganizowane. Z pośród tych, co przed wojną tu polowali, ja jeden korzystam z miłych zaproszeń.

Prawda, pozostał jeszcze z tych czasów stary gajowy. We wrześniu ub. roku przyjechałem do Sokolnik na kuropatwy. Gdyśmy formowali pierwszą ławę, towarzysz dawnych łowów powitał mnie radośnie. Poszedł koło mnie, gawędziliśmy o minionych czasach. A gdy mi spadła trudniejsza kura, kiwał głową z uznaniem.



Ponowa. Z serji, odznaczonej srebrnym żetonem na konkursie fot. „Łow. Pol.". Fot. R. Eisenbraun.

— Pan redaktor chodzi i strzela, jak wtedy, kiedy był tu pan Sienkiewicz!...

Miły, stary gajusie! Tych trzydziestu lat, które dzieli nas od owych polowań z Hermanem, nie przekreśli żadna siła ludzka. Ale chwała Bogu, że jeszcze z biedą możemy nadążyć młodszym w spętanej naci kartofli, w burakach, w rozpaczliwie pulchnych podorywkach, i że niezawsze się pudłuje.

*

A oto inne wspomnienie, dziś już złagodniałe w oddaleniu lat, a które było może najdramatyczniejszym epizodem mojej karjery myśliwskiej.

Polowaliśmy w Pawłowicach, pod Sochaczewem. Ponieważ gospodarz, dr. Jan Brzeziński, b. redaktor „Kurjera Warszawskiego", już wtedy sparaliżowany, nie ruszał się z Warszawy, zastępował go na polowaniu Herman, jego szwagier. Dzień był późno jesienny, beznadziejny, pochmurny. Chwilami mżył deszcz, szara płachta nieba wisiała nisko nad głowami. Podorywy były rozmiękłe, po koniczynach i poplonach chodziło się, jak w wodzie. Humory przygasły, zwłaszcza, że i zwierzyna gdzieś się poukrywała. Zmierzch nadszedł wcześnie. Ostatnie zakłady na bażanty robiliśmy w parku, przyległym do dworu. Przemokłe ptaki nie chciały się podnosić, uciekały na piechotę. Nie było ich zresztą wiele. Więc rychło daliśmy im spokój, stęsknieni za suchem obuwiem i ubraniem, pewno i za dobroczynną wódką.

Wracaliśmy bezładną hurmą, myśliwi i naganiacze, lipową aleją, zamykającą od strony traktu i rzeki

rozległy trawnik przed tarasem. Taka sama aleja biegła i z drugiej strony trawnika; wiodła do kuchni, połączonej z dworem dłuższym, otwartym krużgankiem. Rabski, rozżalony na psią pogodę i błoto, oddał broń jednemu z polowych. Franciszek Ejsmond i ja trzymaliśmy jeszcze nabite fuzje w ręku.

Z krzewów, zdobiących środek trawnika, porywa się bażant. Rabski woła do mnie: — Strzelaj! Kogut!

Widzę, że Ejsmond już się zmierza. Machinalnie rzuciłem dubeltówkę do ramienia, dwa strzały złączyły się w jeden. Kogut zwalił się, lecz w tejże chwili po drugiej stronie trawnika, o jakieś 100 — 120 kroków od nas, krzyk:

— Nie strzelać! Nie strzelać!

Serce zamarło mi w piersiach. Nikt z nas, idących wielką gromadą, nie przypuszczał, że drugą stroną również ktoś poszedł.

Zgiełk, krzyk. Biegniemy przez trawnik.

Cóż za straszna chwila!



Z polowania na dziki. Fot. T. Rychłowski.

Sienkiewicz chustką ociera zakrwawioną twarz. Służący ks. Chełmickiego, również kilkoma śrucinami uderzony, trzęsie się ze strachu. Ksiądz rektor przerażony. Sienkiewicz daremnie go uspokaja. Idziemy szybko do dworu. Podają światło. W twarzy wielkiego pisarza tkwiło kilka śrucin. Były tuż pod skórą. Jedna przy lekkiem dotknięciu wypadła na podłogę. Andrzej miał ich trochę więcej, lecz równie płytko. Odległość była znaczna, ówczesne przeciętne fuzje biły gorzej, niż dzisiejsze. Obmywamy te skaleczenia; znalazły się prowizoryczne opatrunki. Sienkiewicz nastawał, abyśmy usiedli do stołu. Już odzyskał zwykłą pogodę ducha, przedrzeźniał się żartobliwie z ks. Chełmickim. Ejsmondowi i mnie robił wymówki, żeśmy go wzięli za bażanta. Próbowałem się uśmiechnąć. Daremnie. W skroniach szum, gardło ściśnięte na amen, serce ledwo-ledwo. Wielki pisarz postrzegł mój stan.

— Niechże się pan tak nie przejmuje — rzekł, kładąc rękę na mem ramieniu.

Ksiądz Chełmicki zareagował.

— On jeszcze gotów przepraszać, że go postrzelili!

Lecz Ejsmond oświadczył stanowczo, że to nie mogły być jego śruciny. Wobec tej pewności nie pozostawało mi nic innego, jak wziąć całą odpowiedzialność na siebie.

I wtedy, pamiętam, nastąpił moment odprężenia. Zbyliśmy się obaw, pozostało tylko wzruszenie, nieodłączne od minionego niebezpieczeństwa. Zajęliśmy miejsca przy stole, ale nikt nie miał ochoty do jedzenia; rozmowa wciąż wracała do wypadku, urywała się. Niebawem zajechały konie, wróciliśmy do Warszawy wcześniejszym pociągiem. Ks. Chełmicki zabrał Sienkiewicza i swego Andrzeja wprost z dworca do Omegi. Tam wnet wyjęto śruciny, dokonano opatrunków. Rabski, Ejsmond, Herman i ja czekaliśmy na dole.

Gdyśmy odprowadzili Sienkiewicza do dorożki, ks. Chełmicki szepnął mi, wskazując na obandażowaną głowę pisarza.

— Teraz najcięższa chwila. Co powie pani Sienkiewiczowa!

•

Wyznaję szczerze, że, kiedy nazajutrz stanąłem przed drzwiami mieszkania znakomitego pisarza (przy ul. Szopena), był taki moment, że miałem ochotę uciec, gdzie pieprz rośnie. Przemogłem się, i w kilka minut później pani Sienkiewiczowa przyjęła mnie uprzejmie, a jej żal z powodu wypadku zdawał się kierować w równej mierze pod adresem męża, jak pod moim. Powtórzyła parę razy: — On taki nieostrożny! Był to niechybnie tylko objaw doskonałego wychowania, — nigdy wyżej nie ceniłem doświadczonych form towarzyskich, jak owego dnia...

Sienkiewicz, jeszcze obandażowany, przyjął mnie w swoim gabinecie. Siedział w fotelu, w ręku trzymał stare łacińskie wydanie Horaciusza, który w tym okresie był jego ulubioną lekturą. Odłożył książkę i powitał z taką życzliwością, że zapomniałem o moich obawach i udrękach. Zawdzięczałem im dwie dłuższe rozmowy z twórcą „Trylogji", mogłem ocenić z bezpośredniego zetknięcia jego wysoką kulturę, głęboką mądrość i tę delikatność uczuć, którą tak dobrze określa niemieckie wyrażenie „Feinfühligkeit", a którą albo ma się od urodzenia, albo nigdy się jej nie nabędzie.

Dzienniki rozpisały się o wypadku, a moi koledzy nie poskąpili mi — prozą i rymem — uszczypliwych docinków. Przyjąłem je w pokorze ducha, jako słuszną karę.

STEFAN KRZYWOSZEWSKI

U progu nowego rocznego okresu naszego wydawnictwa zwracamy się z gorącym apelem do dotychczasowych Szanownych Prenumeratorów

o jednanie dla „Łowca Polskiego" nowych, stałych jego czytelników.

Niech każdy w ten sposób wbuduje choć jedną cegiełkę, przyczyniając się do dalszego wzmocnienia gmachu polskiego piśmiennictwa łowieckiego, oddanego na usługi wszystkich zainteresowań naszych myśliwych i pracującego dla rozwoju rodzimego łowiectwa.

Niezależnie od tego prosimy usilnie o możliwie śpieszne, punktualne odnawianie prenumeraty na najbliższy okres czasu: rok, półrocze, kwartał, lub miesiąc następny.

Administracja.

PIERWSZY GRUDZIEŃ - PIERWSZA PONOWA.

Dzień wstał chmurny, zanosiło się na śnieg. Rzeczywiście, po niedługim czasie zaczął prószyć z początku mały, później coraz większy i większy. Ziemia pokryła się znaczną warstwą śniegu.

Ponowa!

Na to słowo raduje się serce myśliwego. Każdy zaciera ręce i myśli sobie, że może uda się otropić i osznurować wilka lub lisa.

Straż leśna Ordynata na Nieświeżu i Klecku, Leona Księcia Radziwiłła, czuwa.

Wielkie przestrzenie leśne pobielały. Zwierz zdziwiony bielą szuka ukrycia w gąszczach, gdzie zwarcie ochroniło ziemię od nieprzytulnego, zimnego śniegu.

Tropy znać doskonale. Każdy gajowy śpieszy na przesmyki grubego zwierza w swoim obchodzie odnaleźć tropy.

Godz. 13 min. 05 — raport gotowy.

Na biurku dzwoni telefon. Biorę słuchawkę.

Hallo, kto mówi?

Odpowiedź: „Gajowy Mordasewicz melduje posłusznie, że w oddz. 16 obr. Hościmne otropiono dwa wilki, czy sznurować wilki i jak prędko panowie myśliwi przyjadą?

Polecam sznurować wilki natychmiast, wyjeżdżamy za pół godziny — czekać przy gajówce Łochasowszczyzna.

Punktualnie godz. 13 min. 35 wyjeżdżają myśliwi w liczbie pięciu osób na czele z Księciem Ordynatem Leonem Radziwiłłem, rozprawiając z ożywieniem o uroku polowania po białej stopie, o rzadkiem i pięknem polowaniu zimowem na wilki i t. d., i t. d.

Droga dobra i niedaleka.

Samochody dowiozły nas szybko.

Gajowy Mordasewicz odraportował Księciu Ordynatowi, że wilki są w ostępie osznurowane.

Po wysłuchaniu raportu, składanego Księciu Ordynatowi, zapytałem gajowego: ile jest wilków w ostępie i z której strony weszły.

Otrzymałem odpowiedź, że dwa są napewno, a może i cztery, bo od strony oddz. 11 są dwa ślady wejściowe, zaś od oddz. 17 dużo jest śladów tak wejściowych, jak i wyjściowych, jednak o dwa ślady wejściowe więcej. Możliwe, że dwa wilki, które weszły od strony oddz. 11, nakluczyły na linji między oddz. 16 i 17, weszły i pozostały w oddz. 16. W środku oddziału jest gęsty 10—12 letni zagajnik sosnowo-świerkowy, w którym przypuszczalnie ułożyły się wilki na dzienny odpoczynek. W dodatku są ślady lisie, więc jest możliwość spotkania się w ostępie z mykitą.

Zorjentowawszy się z której strony wiatr, w którym kierunku gęsty i większy las, zacząłem rozstawiać myśliwych.

Długość linji, po której stanęliśmy wynosiła około 300 metrów.

Naganka ruszyła bez sygnału w umówionym czasie.

Niedługo po pierwszej trąbce naganki padł głuchy pojedynczy strzał.

Chwila ciszy. Znowu pojedynczy strzał.

Później jeszcze trzy strzały, dalej jeszcze dwa strzały i następne: ósmy i dziewiąty.

Duża ilość strzałów zdziwiła mnie.

Czyżby po zabiciu lub spudłowaniu wilków myśliwi z rozpaczy zaczęli strzelać do zajęcy? Poprostu nie do pomyślenia, aby wytrawni myśliwi i dobrzy strzelcy przy polowaniu na grubego zwierza strzelali do biednych szaraczków. Ale skąd dziewięć strzałów? Duża ilość strzałów nasuwała mi różne myśli.

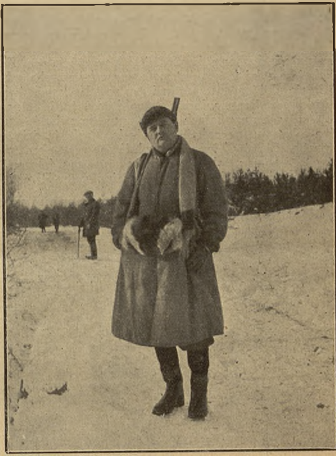
Z niecierpliwością oczekuję dojścia naganki do linji strzelców.

Gdy to nastąpiło, wszyscy myśliwi szybko zeszli się do miejsc, z których padło najwięcej strzałów, aby dowiedzieć się o rezultacie.

Trofea są nadspodziewane.

Z pierwszego stanowiska naganiacze wynoszą dwa wilki, na drugiem stanowisku dwa wilki, na trzeciem lis i na piątem lis.

Humory myśliwych doskonałe. Każdy z zapałem opowiada, jak wyszedł na niego wilk lub lis, jak był strzelony, w jakiej odległości, którego trzeba było poprawiać, który zrulował na miejscu...



Paweł Hr. Potocki z Chrząstowa na polowaniu.
Fot. Dyr. A. Piasecki.

Nie byłoby końca tym opowiadaniom, gdyby nie Książe Ordynat, który zaproponował wypić pogrzebowego ze słynnej, srebrnej manierki myśliwskiej, otrzymanej od swego dziadka, ś. p. Księcia Antoniego.

Po krótkiem, lecz udanem polowaniu wyśmienita starka smakowała doskonale.

Na odjezdnem Książę Ordynat suto wynagrodził gajowych oraz naganke.

Siedliśmy do samochodów.

Jechaliśmy w milczeniu, przeżywając powtórnie emocjonujące spotkanie z basiorami i mykitami, wyglądającemi poprostu wspaniale na tle pięknego, przyprószonego śniegiem lasu.

Ocknęliśmy się z tego półsnu przy wjeździe do miasta, przemknąwszy niespostrzeżenie piętnastokilometrową odległość, dzielącą knieję od Nieświeża.

Była godzina 16 min. 30.

Inż. STEFAN KORZON

WRAŻENIA Z BRYTYJSKIEJ KOLUMBJI.

(Ciąg dalszy).

Zaledwie o trzysta, czterysta mil na północ, już w Pavillion, na zachodnich wybrzeżach Fraser, w górach Kaskadowych, od miesięcy trwała twarda zima. Tu, u wybrzeży Pacyfiku, w grudniu było ciepło i gdyby nie mgły i deszcze, możnaby było nawet wykąpać się w wodach Oceanu Spokojnego.

Bujna roślinność tej wyspy już z końcem lutego zaczyna się ożywiać, a w marcu wszystkie ogrody owocowe i krzewy ozdobne przy „Bungalow" znajdują się w pełnym rozkwicie.

Mieszkańcy, rekrutujący się przeważnie z bogatych Anglików, lub też emerytowanych urzędników tejże narodowości, w najmniejszym nawet stopniu nie przypominają wiecznie zgonionych w gorączkowej walce o bogactwo raczej, niż o byt, amerykan z sąsiedniego stanu Washington. Posiadają oni pewną dystynkcję duchową, korzystnie ich wyróżniającą. Ze spokojem ludzi, którzy już mają wszystko za sobą, oddają się ulubionemu sportowi gry w golfa, myślistwu na płową zwierzynę, liczne gatunki grousów i błotnego ptactwa na przelotach, a nadewszystko rybołóstwu, stanowiącemu ich najmilsze zajęcie. Pasja ta ściąga nawet ze Stanów Zjednoczonych liczne rzesze amatorów tego sportu, sławne bowiem są pstrągi i łososie w jeziorach Campbell, Nimbkish i w Oyster River



Dwa brusy, położone wpoprzek wąwozu, służą za most.

Stolicą Brytyjskiej Kolumbji jest Victoria, a nie, jakby się zdawało, czterystotysięczne miasto Vancouver. Victoria jest bodaj jedyną miejscowością w Kanadzie, która swoim wyglądem i spokojem zbliżona jest raczej do cichych osiedli Wielkiej Brytanji, niż do zgiełkliwych, imponujących wielopiętrowemi budowlami z betonu i stali, kipiących życiem miast amerykańskich.

Ośnieżone Góry Olimpijskie (Olimpic Mountains) chronią Victorię od podmuchów ostrej zimy, a ciepłe prądy japońskiej cieśniny Juan de Fuca ogrzewają ją, stwarzając tam idealne warunki klimatyczne.

Wędrówki moje po Forbidden Plateau nie dały żadnego rezultatu. W okresie, kiedy tam przybywałem, było ono jakby wyjałowione z pum. Toteż spakowaliśmy nasze bagaże i wróciliśmy do Comox. Po dwudniowym odpoczynku w domu Smitha załadowaliśmy łódź na dach naszego wozu i udaliśmy się wgłąb wyspy.

Dojechawszy do miejsca, skąd dalej już wóz nie mógł nam służyć, mozolnie, w pocie czoła, przenieśliśmy z początku „canoe", później nasze bagaże i żywność nad jezioro.

Plan Smitha polegał na tem, że nad jednym z licznych jezior wyspy (Vernon Lake) mieliśmy rozłożyć się obozem i stąd robić wypady w okolice. Niewinna nazwa wypad w najmniejszym nawet stopniu nie oddaje właściwego charakteru tych wycieczek. Były to ciężkie, męczące wspinania się po oślizgłych skałach, wędrówki po gruncie rozmokłym i tak nierównym, że często godzinami nawet dziesięciu kroków nie można było przejść bez natknięcia się na przeszkody. Przedzieraliśmy się przez gąszcz, raniąc twarz i ręce o gałęzie, a woda, która strząsała się na nas z krzewów, nie mając innej drogi, ponieważ ubranie doskonale nas chroniło, chytrze spływała nam za kołnierze. Powoli zacząłem przeklinać dzień i godzinę, w której przyszła mi myśl o zdobyciu pumy po czarnej stopie.

Piątego dnia naszego pobytu nad jeziorem, kiedy po całodziennej, bezowocnej wędrówce pod wieczór wlekliśmy się znużeni do obozu, nagle, jakby tknięty prądem, apatycznie postępujący Prince, ożywił się i, szybko biegnąc z miejsca na miejsce, z zainteresowaniem zaczął węszyć leżące na gliniastym gruncie liście i igliwie. Zaskowytał „Morry" i szarpnął się. Spuszczony z linki, w lot wziął na nos świeży trop i, jak piorun szybki, wraz z „Princem" po chwili znikł.

Well, boy! Well, well! To już jest coś ciekawszego. Przez chwilę nasłuchujemy. Jękliwem tjawkaniem odzywa się poszczek-skowytanie goniących psów w miocie.

Zmęczenie, leżące nam na barkach tysiącfuntowym ciężarem, zostało jak pyłek zdmuchnięte. Nogi, sflaczałe, ciężkie, jakby ołowiem nalane, stają się prężne. Nie widzę przeszkód, nie widzę wiatrołomów, ni kamieni, ani gąszczu. Słyszę tylko głosy gonu.

Psy najprawdopodobniej widzą już zwierza i gonią na oko. Podekscytowany w najwyższym stopniu, pędzę naoślep, kierując się tylko słuchem. W pewnej odległości za mną biegnie Smith. Gumowy kaftan i wełniak ciężą mi nadmiernie. Przy jakiejś powalonej kłodzie zrzucam z siebie w biegu plecak i odzież, i tylko we flanelowej koszuli rwę naprzód, przewracając się. Szaro już jest, a w gąszczu ciemno nawet, gdy dobiegam do miejsca, gdzie psy, zachłystując się, napięte i rozżarte do ostateczności, trzymają na konarze drzewa pumę. W mroku, poprzez plątaninę gałęzi i młodniaku, widzę tylko niewyraźnie jej zarys.

Waham się, trwa to ułamek sekundy. Nie chcę ryzykować strzału, bojąc się pudła, a co gorsza, zranienia zwierza, który rozwścieczony, mógłby się rzucić na psy. Słyszę już świst oddechu nadbiegającego Smitha.

Nagle, w momencie, gdy decyduję się na strzał kulą i podrywam broń do oka, znienacka, gwałtownym, i prężnym ruchem, spada na ziemię puma. Przez chwilę „Prince", „Morry" i kuguar tworzą jeden żywy, rozdygotany, charczący kłąb. Wśród zgiełku i jazgotu kotłujących się cielsk, słyszę jakby chrzest łamanych kości. Z kłębowiska wyskakuje „Prince". Puma, jak z katapulty rzucona, zawisa na gałęzi cedru. Wyrywam śrutówkę z rąk nadbiegłego Cecila, z niewielkiej odległości strzelam jej w łeb i natychmiast poprawiam z drugiej lufy strąconego na ziemię zwierza. „Prince", który chował się za mną drżący, z furją rzuca się na pumę i nielada mieliśmy pracę ze Smithem, zanim oszalałe z wściekłości zwierzę zdołaliśmy oderwać od strzelonej.

„Morry", ze złamanym grzbietem i zgruchotaną czaszką, drąc pazurami ziemię, wydaje ostatnie tchnienie.

Cała ta scena trwa dosłownie sekundy. Wryła mi się jednak w pamięć i osiadła tak mocno w mózgu,

że starczy, abym sobie tylko o niej przypomniał a już cały obraz maluje mi się tak plastycznie, jakbym go przed godziną przeżył.

„Poor „Morry"! To było wszystko, co narazie wydobył z siebie Smith. Dramat skończony! W lesie ciemno już. Pnie powalonych olbrzymów, splątany gąszcz, mgła, wilgoć — to wszystko składa się na to, że powrotna droga do ścieżki wydaje się nie do przebycia. Próbuję podnieść pumę. Jest ciężka. Już po wypatroszeniu waży około stu pięćdziesięciu funtów. Stanowi okaz pięknej, wyrosłej samicy. Ma bronzowe futro, długi, czarny, kiścią zakończony ogon i duże, jeszcze błyszczące, zielone ślepia.

Dostaniemy się zaraz do ścieżki, którą bez zbytniego trudu dojdziemy do „canoe", przenocujemy w namiocie, a rano z psem odnajdziemy łatwo miejsce, gdzie zwierzę zostało ustrzelone. Taki jest plan Anglika.

Cecil, który zna doskonale wszystkie zakamarki tej wyspy, jest najlepszej myśli.

Przedzieramy się przez gąszcz. Droga, której trudności przedtem prawie nie odczuwałem, chociaż, biegnąc na głos gonu, przewracałem się i potykałem nieskończoną ilość razy, kalecząc ręce i twarz, obecnie wydawała się rozpaczliwa. Przemoczony do nitki, wlokę się naoślep po oślizgłym, rozmiękłym gruncie, gdzie każdy krok, każdy ruch strząsa na mnie potoki wody. Ciemno jest, jak tylko ciemno być może bezksiężycową, mglistą nocą w lesie o gęstem podszyciu. Mży deszcz. Ścieżki nie możemy znaleźć, wiem już, że Smith zbłądził. Jeszcze się nie poddaje, jeszcze jest pewny siebie: „All right, idziemy napewno w dobrym kierunku, proszę się trzymać za mną" — ale coś mi ta poniewierka za długo trwa. Ostatkiem tchu wlokę się po tym wysiłku fizycznym i nerwowym.

„Morry", pyszny, muskularny „Morry", o orzechowych, rozumnych oczach, zginął, ledwo muśnięty łapą swego odwiecznego wroga. Przypłacił życiem swoją dzielność i ochotę myśliwską. Jakże się gryzę, że go ocalić nie mogłem, jakie wyrzuty sobie robię!

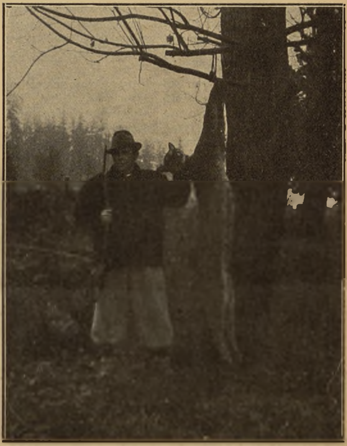
Trzeba było strzelić, patałachu! Ba, ale strzelić w ten kłąb żywy i drgający, zabić, ewentualnie pocharatać całą tę piekielną sarabandę... Głupiś! Wiem o tem, bo któż mądry przez tyle dni igły w stogu siana szuka. Kto przez tyle dni po czarnej stopie się włóczy, szukając tropu pumy po tych zakazanych wertepach, po tych wiecznie oślizgłych skałach i wzgórzach, po tych pniach zmurszałych, w których noga grzęźnie. Daj spokój, nie jęcz, boś znowu wlazł w jakieś krze, w jakieś gałęzie, a Smith czeka i gwiżdżąc kierunek wskazuje. Cecil, poczekaj!... Skrzeczysz, pokrako, i nie wstyd ci? Skowyczę duchowo, męczę się i wyrzucam sobie niezdarność, którą „Morry" życiem przypłacił. Mokry do nitki, gramolę się z pułapki, aby po chwili wleźć w drugą, jeszcze gorszą.

Piekło, oślizgłe, mokre piekło!

— Mister Smith, co robić dalej?

— A no nic, musimy ogień rozpalić — spokojnie, z flegmą rezygnuje stary z odnalezienia ścieżki, a tem samem z ciepłych, suchych śpiworów, z gorącej herbaty z rumem i z reszty wygód, jakie nas czekały w namiocie. Trzeba ogień rozpalić i jakoś ranka doczekać.

Błyska zapałka. O hell! Mam jeszcze tylko dwie, obydwie mokre. W porzuconym plecaku, oprócz innych, niezbędnych rzeczy, znajdowało się również nieprzemakalne pudełko z zapałkami. Żeby chociaż gdzieś odrobinkę smolniaka znaleźć. Oh, boy! Stoimy pod jakiemś drzewem. Ciemno i deszcz siąpie. Nieopatrzny jakiś ruch, a strumień lodowato zimnej wody spada na plecy. Dzwonię zębami. Smith nie. Ma sztuczną szczękę, jak już odkryłem, więc może ją do kieszeni schował. Sobacza perspektywa. Długą, grudniową noc spędzić w tych warunkach... Chroboce nóż o korę drzewa. Stary coś majstruje. Nastrugał kory, dwie ostatnie zapałki suszy w uchu i pociera o włosy. Gdzieś na dnie w torbie znajduję jakieś suche strzępy papieru. Droższe mi są obecnie, niż Rockfellerowskie czeki. Następuje ostatnia próba, i mały, malusieńki ogienek przebłyskuje. Pielęgnujemy go ze Smithem. Żeby tylko nie zgasł, aby się tylko utrzymał!... Podsycam kawałkami suchej kory tlejący się płomyk, truchlejąc na myśl, że może zamrzeć. Udało się. Siedzimy przy ognisku. Cecil dokazał cudu. Rozniecił dwiema mokremi zapałkami ognisko wśród tego morza wilgoci. Medytujemy, dzieląc się ostatnią szczyptą tytoniu.



Autor z zabitą pumą.

— Wie pan, trzydzieści lat poluję na pumy, a jest to może drugi lub trzeci wypadek, aby *female* (samica) i do tego jałowa, brała psy po tem, jak została wpędzona na drzewo. Mat, czy pan aby dobrze zwrócił uwagę podczas patroszenia? Czy sztuka ta napewno była jałowa? Owszem, zdarza się często, że *male* (samiec), gdy niezbyt prędko mogę za psami zdążyć, osaczony, zeskakuje z drzewa i psy mi zabija.

Ale żeby samica tak postąpiła i to jałowa, niesłychane! Poor „Morry"! Takie jego fatum widocznie było. Jednakże jutro musimy dobrze się rozejrzeć, może jeszcze coś ciekawszego znajdziemy. Pan jest o key! — w zupełnym porządku. Przecież niepodobieństwem było strzelić kulą w tych warunkach, i bardzo rozsądnie pan postąpił, nie ryzykując lekkomyślnie strzału. Zresztą umówiliśmy się już dawniej, że gdy wypadnie strzelić o zmierzchu, tylko gruby śrut może być pewny. Bo gdy zwierz od precyzyjnej kuli natychmiast nie padnie, lecz zwali się z drzewa z iskierką życia jeszcze, jest duże niebezpieczeństwo, że psy mogłyby przypłacić to życiem, lub poważnem kalectwem.

Palimy, gawędząc. Ja nawet usiłuję flanelową koszulę przesuszyć. Płomień liże pień drzewny, u stóp którego został rozłożony. Stale podsycany, rozbuszował się na dobre. Teraz to już fraszka! Z komfortem doczekamy ranka.

— A w nagrodę za dzisiejszą poniewierkę uwarzę panu jutro „*couger teil soup*" (zupa z ogona pumy). Powiadam panu, Mat, ten smakołyk niewielu europejczyków kosztowało, a słynna „*ox teil soup*" z Georgia Hotel w porównaniu z tamtą jest zwyczajną lurą, którą się cielęta poi.

— Przypominam sobie, jak po raz pierwszy zaproponowałem ten przysmak panu O. z wiedeńskiego muzeum przyrodniczego, który, jak już wspomniałem, przed wielką wojną kilka razy odwiedził mnie, kolekcjonując do zbiorów czaszki i skóry pum. Hell! Trudno mi określić z początku odrazę, a później zdziwienie, jakie propozycja moja wzbudziła w nim. Ale przy obielaniu pum, kiedy zobaczył płaty jasno różowego, podobnego do wędzonego łososia mięsa, a co ważniejsze, kiedy go wreszcie przekonałem i zakosztował pierwszej łyżki zupy, sporządzonej z ogona pumy — Sir, nie mógł się jej nachwalić. A stek, przyrządzony z grzbietu, uważał za smaczniejszy od najprzedniejszej cielęciny.

— Cecil, przestań pan mówić o apetycznych potrawach i niepotrzebnie mnie teraz rozdrażniać. Wie pan przecież doskonale, że w plecaku, który zrzuciłem z siebie, miałem jeszcze zapas prowiantu, któryby doskonale zaspokoił nasz głód, a w namiocie, znajdującym się prawdopodobnie bardzo niedaleko stąd, mamy również specjały, na wspomnienie których żołądek mój „wyrywa sobie włosy z głowy". Proszę więc nie mówić już więcej o jedzeniu. Przyznа pan chyba, że wart jestem conajmniej porządnego „hella", za nieopatrzne porzucenie swego plecaka, w którym, oprócz tych wszystkich smakowitości, znajdowała się również latarka elektryczna. Gdyby była ona obecnie pod ręką, łatwo możnaby było odnaleźć ścieżkę.

— Yes, Sir! Ma pan słuszność. Rzeczywiście nie zwróciłem uwagi na to, biegnąc za panem. Powinienem był, jako bardziej doświadczony, porzucony *bag* (plecak) zabrać ze sobą. Głupstwem nie do wybaczenia jest również, że nie zaopatrzyłem się w zapasową latarkę elektryczną. Przecież niejednokrotnie mi się zdarzyło, że pumę, zapędzoną przez psy na drzewo wieczorem, kiedy mi trudno jest odróżnić jej kontur, oświetlałem błyskiem swojej *flash light* (latarki elektrycznej), przymocowanej do kapelusza. Tak, lekkomyślnie postąpiłem. Przyznam się panu, że zaskoczył mnie ten wypadek. Masz jednak pecha, że pierwszą pumę los ci pod lufę nasunął o tak nieodpowiedniej porze. Wracaliśmy przecież do domu. Tego dnia i poprzednich wertowaliśmy dosyć dokładnie okolice, a jednak przypadek zrządził, że po długiej mitrędze, dopiero tak późno, prawie że zmierzchem już, Prince dostał ją na nos. A dzień dzisiejszy dał nam się przecież mocno we znaki, czujemy go dobrze w nogach.

(D. c. n.) M. G.

NA TEMAT ROZWOJU ROSOCH U ŁOSIA.

Poruszona w Nr. 33 „Łowca Pol." 1936 sprawa rozwoju rosoch łosia w kształt łopat czy badyli otrzymuje nowe oświetlenie w korespondencji bar. Seydlitza ze Szwecji, zamieszczonej w Nr. 36 „Wild und Hund". Autor na podstawie długoletnich obserwacyj, przeprowadzonych na terenie Szwecji, przychodzi do innych wniosków, niż p. Bansi.



Trofea pierwszej ponowy w Ordynacji Nieświesko-Kleckiej Leona Ks. Radziwiłła. (Do art. na str. 9).

W Szwecji, posiadającej największy ilościowy stan łosi w Europie, bo zgórą 30 tys. sztuk, z których około 6 tys. pada co roku głównie z rąk włościan, właścicieli terenów łosich, nie rosochy stanowią trofeum szczególnie poszukiwane, ale waga zwierzęcia, stanowiąca o ilości zdobytego mięsa. Otóż zarówno opinja powszechna wśród ludności szwedzkiej, jak i osobiste obserwacje autora stwierdzają, że większą wagę ciała, a więc mocniejszą budowę, posiadają łosie o rosochach jelenich, a więc o długich odnogach i mało rozwiniętej łopacie. Różnica dochodzi do 30, a nawet 40 kg. na sztuce, co oczywiście jest specjalnie wysoko cenione przez wiejską ludność ubogą, rzadko korzystającą z pożywienia mięsnego.

Jak widzimy, okoliczność powyższa przeczy całkowicie teorji, uzależniającej formę i masywność od mniej lub więcej pomyślanych warunków odżywiania. Duża waga ciała jest bowiem najlepszym sprawdzianem obfitości pożywienia*), jeśli więc łosie-byki specjalnie mocne mają rosochy jeleniowe, to nie pozostaje nic innego, jak uznać słuszność teorji o istnieniu dwóch odmian łosi: łopataczy i badylarzy, z których każda może się rozwijać samodzielnie, dając okazy równie dobrze wyrośnięte, bez względu na kształt rosoch.

Oczywiście, pamiętać należy, że badylarze szwedzkie nie mają nic wspólnego ze zdegenerowanemi łosiami, szpiczakami czy widłakami, które spotykamy w zbiorach rosoch łosi środkowo europejskich. Okazy te są wynikiem błędnego, a od długich lat stosowanego odstrzału wyłącznie byków najlepszych, dzięki czemu pokolenia następne karłowaciały. W Szwecji, przy ogromnym ilostanie łosi, a krótkim terminie odstrzału podobna selekcja *a rebours* nie mogła mieć miejsca, to też tam łosie rozwijały się normalnie, dochodząc do potężnych wymiarów. Autor wspomina o byku-badylarzu, którego rosochy, o łodydze grubości ramienia, miały rozłogę równą 140 cm., co stawia go narówni z kanadyjskiemi.

Bar. Seydlitz, przytaczając fakt lepszego rozwoju cielesnego w Szwecji łosi typu jeleniowego, w porównaniu do typu łopaciarzy, stawia hipotezę, iż znajduje się to w związku z odmiennym charakterem psychicznym obu tych odmian. Jak wskazują obserwacje, łopaciarze wykazują usposobienie bardziej flegmatyczne, powolne, wówczas gdy badylarze są ruchliwsze, zaczepne, wojownicze. W walkach zarówno o samicę, jak i o tereny pastwiskowe, ten ostatni typ zdobywa pierwszeństwo i daje w wyniku rasę mocniejszą.

J. GIEYSZTOR.

*) Nie zupełnie. Pożywienie, odpowiednie dla wytworzenia dużej ilości mięsa, może jednak nie zawierać potrzebnej dla sformowania systemu kostnego i poroża ilości związków mineralnych. Redakcja nie podziela wyłożonych poglądów. (*Przyp. red.*).

OSTATNIE ROZPORZĄDZENIE MINISTERSTWA.

W „Dzienniku Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej" Nr. 91 z dnia 15 grudnia r. 1936 ukazały się następujące rozporządzenia:

Poz. 638.
ROZPORZĄDZENIE
MINISTRA ROLNICTWA I REFORM ROLNYCH
z dnia 10 grudnia 1936 r.
o uznaniu muflonów za zwierzęta łowne.

Na podstawie art. 1 ust. 2 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110, poz. 934), zarządzam co następuje:

§ 1. Muflony uznaje się za zwierzęta łowne.

§ 2. Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Minister Rolnictwa i Reform Rolnych:
J. Poniatowski

Poz. 639.
z dnia 10 grudnia 1936 r.
o zmianie rozporządzenia Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 20 listopada 1935 r. o ochronie niektórych zwierząt łownych.

Na podstawie art. 51 ust. 1 pkt. a), b), c) i d) rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110, poz. 934) w brzmieniu, ustalonem rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r. (Dz. U. R. P. Nr. 67, poz. 622), zarządzam co następuje:

§ 1. W rozporządzeniu Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 20 listopada 1935 r. o ochronie niektórych zwierząt łownych (Dz. U. R. P. Nr. 86, poz. 536) wprowadza się zmiany następujące:

1) § 2 otrzymuje brzmienie następujące:

„§ 2. Zabrania się całkowicie polowania na niedźwiedzie, łosie-byki, muflony, dropie i dropie-kamionki (strepety)".

2) w § 3 skreśla się wyrazy „niedźwiedzi od 16 stycznia do 15 grudnia."

§ 2. Rozporządzenie ~~niniejsze~~ wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Minister Rolnictwa i Reform Rolnych:
J. Poniatowski

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 2 GRUDNIA 1936 R.

Obecni P. P.: Przewodniczący Wacław Szperling, Maurycy hr. Potocki, Jerzy Dylewski, Red. Walenty Garczyński, Bohdan Gędziorowski, Prof. Józef Gieysztor, Kazimierz Kamieński, Inż. Herman Knothe, Józef Skrzypek, Andrzej Śliwiński, Inż. Kazimierz Tołłoczko, Inż. Karol Rotkel i w charakterze gościa — Inż. Juljusz Korybut-Daszkiewicz; prtokółował Jerzy Bokiewicz.

P. Przewodniczący Szperling, otwierając obrady, zakomunikował, że posiedzenie dzisiejsze zwołane zostało na wniosek p. Red. Garczyńskiego dla rozpatrzenia zgłoszonego przez P. inż. Korybut-Daszkiewicza projektu zorganizowania straży łowieckiej na obszarze całej Polski.

P. Inż. Korybut-Daszkiewicz podziękował Wydziałowi Wykonawczemu za zaproszenie go na posiedzenie oraz za wyrażenie zgody na rozpatrzenie projektu, którego realizacja przynieść może łowiectwu polskiemu i Związkowi wielki pożytek.

Następnie P. Inż. Korybut-Daszkiewicz wygłosił referat, w którym skreślił historję powstania „Straży Łowieckiej Powiatu Płońskiego" oraz omówił jej podstawy organizacyjne i działalność, a wreszcie w głównych zarysach uzasadnił projekt stworzenia jednolitej organizacji straży łowieckiej na obszarze całej Polski.

W dyskusji zabierali głos P. P.: Red. Garczyński, Dyr. Gędziorowski, Dylewski, hr. Potocki, Skrzypek, Kamieński, Prof. Gieysztor i Inż. Rotkel, poruszając szereg szczegółów, które wyjaśniał następnie referent.

Wydział Wykonawczy powołał Komisję dla przedyskutowania projektu P. Inż. Korybut-Daszkiewicza, oraz przygotowania w możliwie najkrótszym czasie konkretnych wniosków, które rozpatrzone zostaną na specjalnem posiedzeniu Wydziału Wykonawczego.

Uznano przytem, iż projekt ten uzgodniony być winien z postanowieniami nowego statutu Związku.

P. Gędziorowski podniósł, że przy dyskusji nad tym projektem należałoby uwzględnić potrzebę ubezpieczenia strażników łowieckich na wypadek śmierci i kalectwa.

Dezyderat ten postanowiono przekazać Komisji.

Na przewodniczącego Komisji wybrano P. Józefa Skrzypka, na członków P. P.: Red. Walentego Garczyńskiego, Dr. Ignacego Grymińskiego, Inż. Juljusza Korybut-Daszkiewicza i Inż. Karola Rotkela.

PROSTUJEMY NIEŚCISŁOŚCI „KURJERA PORANNEGO".

„Kurjer Poranny" z dnia 16 grudnia 1936 r., omawiając zwycięstwa przedstawicieli naszego sportu, jako kandydatów do Wielkiej Honorowej Nagrody Sportowej, nadawanej corocznie przez państwowy urząd W. F. za najlepszy wyczyn sportowy, popełnił dużo nieścisłości w odniesieniu do kandydata, przedstawionego przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich, a popartego przez Związek Strzelecki, p. Józefa Kiszkurny.

W relacji „Kurjera Porannego" Mistrz nasz w Berlinie, na zawodach międzynarodowych w strzelaniu do rzutków, ostatni swój sukces o mistrzostwo świata odniósł „dość przypadkowo", nadto „we wszystkich innych zawodach międzynarodowych Kiszkurno lądował nie wyżej, jak na 4 miejscu".

Przeciwko powyższemu twierdzeniu musimy kategorycznie zaprotestować i prosić Redakcję „Kurjera Porannego", ażeby na przyszłość zechciała w swych informacjach, podawanych do publicznej wiadomości, przestrzegać bardziej ich ścisłości, gdyż w przeciwnym razie może być takie traktowanie sprawy poczytywane przez szeroki ogół za tendencyjne fałszowanie faktów, co w świecie sportowym nie jest w żadnym wypadku dobrze widziane.

W łączności z tem prostujemy nieścisłości „Kuriera Porannego", oświadczając, że stosownie do oficjalnych danych o wynikach zawodnika sportowego Józefa Kiszkurny od 1927 do 1936 r. włącznie znajdują się: dwa pierwsze miejsca w konkurencjach o mistrzostwo świata (Lwów 1931 r. i Berlin 1936 r.), jedno trzecie miejsce (Wiedeń 1933 r.) i jedno czwarte (Bruksela 1935 r.). Nadto w innych konkurencjach międzynarodowych zawodów: pierwsze i drugie miejsce (podzielone) w konkurencji o mistrzostwo Włoch (Bordighera 1934 r.), pierwsze miejsce o mistrzostwo Zoppot (Zoppoty 1930 r.).

Pozatem, jak wiemy, Józef Kiszkurno odniósł bardzo wiele zwycięstw w kraju, z czego w konkurencjach o mistrzostwo Polski był od 1928 r. siedem razy na pierwszem miejscu i dwa razy na drugiem. Pozatem zajął Kiszkurno w tym samym czasie pierwsze miejsce w długim szeregu konkurencji, gdyż 22 razy!

Mamy wrażenie, że powyższe zestawienie wyników za 10 lat strzelania w sportowych zawodach absolutnie nie daje żadnych podstaw do cytowanej wzmianki „Kurjera Porannego", która w tym wypadku zwraca się całkowicie przeciw jej autorom.

W dalszym ciągu tej wzmianki powiada „K. P.", że „konkurencja strzelania do rzutków jest jedną z konkurencji najmniej popularnych i najsłabiej obsyłanych".

I na to zgodzić się nie możemy. Zgromadzenie około 300 zawodników w Berlinie na międzynarodowych zawodach strzelania do rzutków mówi samo za siebie i z tego wysnuć należy zupełnie inny wniosek, mianowicie, że konkurencja ta dojrzała w swej popularności — zresztą ze wszech miar zrozumiałej — do granicy poważnej, a nawet znamiennej.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

PANU PODGÓRSKIEMU KU UWADZE.

We wrześniu ub. r. wpadło mi w ręce nowe pismo p. t. „Myśl Polska", gdzie znalazłem artykuł, który musi wywołać uśmiech na twarzy każdego myśliwego.

Artykuł ten p. t. „O zmianę ustawy łowieckiej na Polesiu" napisał p. S. Podgórski. Oczywiście wiedziałem, że artykuł ten musi wywołać duże niezadowolenie wśród myśliwych, ale szczerze zdziwiłem się, gdy przeczytałem w „Łowcu Polskim" odpowiedź „Wuzela". Przecież na tego rodzaju artykuły nie należy wogóle odpowiadać. Dyskusja jest tylko wtedy bowiem możliwa, gdy obie strony opanowały temat, tymczasem p. Podgórski wykazał w tym artykule całkowitą niekompetencję i brak znajomości stosunków łowieckich w Polsce. W dniu 15.XI.1936 w „Myśli Polskiej" ukazała się znowu odpowiedź p. Podgórskiego na zarzuty „Wuzeta". Z początku myślałem, że p. Podgórski, przeczytawszy uwagi „Wuzeta", wycofa się z dyskusji i przyzna się do popełnienia błędów, co nie jest znowu tak straszną rzeczą. Tymczasem p. Podgórski w dalszym ciągu podtrzymuje swoje poglądy. Odpowiedź jego jest równie nierzeczowa, jak i jego artykuł. Skoro jednak p. Podgórski dalej utrzymuje swoje niesłychane wystąpienie, uważam za celowe zabrać głos nietylko jako myśliwy, ale też jako „ochroniarz".

Rozdać pozwolenia na broń kłusownikom na Polesiu, to znaczy — powrót do czasów powojennych, kiedy to łosie były unikatami. Wątpię, by to było myślą p. Podgórskiego, a jednak wyraźnie do tego dąży. Właśnie dzięki wysokim karom, przewidzianym w ustawie łowieckiej, ilostan łosi przedstawia się zupełnie zadowalająco. Gdybyśmy jednak w myśl wskazań p. Podgórskiego każdemu kłusownikowi na Polesiu pozostawili wolną rękę w użytkowaniu posiadnej nielegalnie strzelby, na nic nie zdałyby się wysiłki myśliwych, mające na celu utrzymanie przy życiu tego gatunku zwierzyny.

Jeśli weźmiemy pod uwagę moment nastawienia Poleszuka do państwowości, to też nie mam wrażenia, by tego rodzaju posunięcie osiągnęło cel. Przyczyniłoby się to tylko do wzrostu bandytyzmu wiejskiego, którego wyrazem są liczne bójki krwawe na zabawach i weselach.

P. Podgórski tak pisze między innemi: „Pomijając, że akcja ta daje pole do popisu nadmiernej gorliwości administracyjnej, czy też gajowych — gdzie prywatne rozgrywki grają decydującą nieraz rolę..."

Dwa błędy popełnił w tem zdaniu autor. Sam, starając się poprawić stosunek Poleszuka do państwa — krytykuje działalność urzędników państwowych, mówiąc o nadmiernej gorliwości administracyjnej. Co zaś do „rozgrywek prywatnych" — to właśnie tego rodzaju zmiana pozwoliłaby kłusownikowi na postępowanie, niezgodne z kodeksem karnym. Już dziś właśnie kłusownik jest elementem, którego używa się, jako narzędzia zemsty, co dopiero działoby się, gdyby każdy z nich miał oficjalne prawo posiadania i noszenia broni.

Artykuł p. Podgórskiego jest typowym przykładem ignorancji i nieznajomości poruszanego przez tylu autorów tematu. Zwłaszcza jeżeli chodzi o pisma codzienne.

Przecież niech raz wreszcie laicy zechcą zrozumieć, że myślistwo jest pozycją w budżecie nietylko jednostki, ale też daje olbrzymie korzyści materjalne państwu i społeczeństwu. Ustawa łowiecka, karząca kłusownictwo, jest właśnie sprzymierzeńcem chłopa. On bowiem osiąga większe korzyści z terenu nieeksploatowanego przez kłusownika. My myśliwi z czystem sumieniem możemy powiedzieć, że naszą zasługą jest obecny stan łosi i bobrów, oraz wielu innych gatunków zwierzyny. Doszliśmy do tego przez energiczną walkę z kłusownictwem i nie pomogą artykuły panów Podgórskich, byśmy tę walkę przerwali. Dążymy wytrwale i konsekwentnie do wygubienia plagi kłusownictwa na ziemiach Polski, obojętne czy to będzie na Polesiu, czy w Poznańskiem.

Artykuły tego rodzaju, jak artykuł p. Podgórskiego, nie osłabią naszej dążności, przeciwnie, zdopingują nas do jeszcze większej pracy, bośmy się przekonali, że walkę z kłusownictwem musimy prowadzić nietylko na terenie nieuświadomionej wsi, lecz także na terenie umysłów ludzi inteligentnych.

M. MNISZEK TCHORZNICKI.



Książka p. t. *„Ptaki Ziem Polskich"* Dra J. Sokołowskiego jest od 54 lat pierwszą publikacją, traktującą szczegółowo o ptakach polskich, jest więc zjawiskiem pożądanem i niecodziennem. Tom pierwszy, który już się ukazał w całości, zawiera wstęp, klucz do oznaczania rodzajów i część szczegółową. Wstęp jest rzeczą, którą można ująć dowolnie i dlatego nie wymaga specjalnego omówienia. „Klucz do oznaczania rodzajów" jest opracowany, mojem zdaniem, za mało dokładnie i dlatego nie będzie prawdopodobnie służył dobrze swemu przeznaczeniu, a pozatem zawiera kilka błędów.

Ażeby nie być gołosłownym, przytoczę kilka cytat: stronica 58, dla odróżnienia rodzajów Alauda i Lullula podano, iż pierwszy jest „bez większego czuba", drugi zaś ma „Mały czub na głowie. Barwy dość pstrokate (?)". Jaka jest więc różnica między temi ptakami, jeżeli jeden niema większego czuba, a drugi ma mały czub? Nawiasem mówiąc, żaden z nich niema czuba w ścisłem znaczeniu. Str. 60 w charakterystyce rodzaju Locustella podano: „L o t k i niezwężone i bardzo szerokie, dzięki czemu o g o n ścięty schodkowato". Co ma kształt lotek do kształtu ogona? Str. 55. W charakterystyce rodziny Certhiidae czytamy: „sterówki bardzo twarde i elastyczne „ostro zakończone". Ale przecież do tej rodziny należy pomurnik o zupełnie innych sterówkach. Str. 72. Rodzaje Ardea, Egretta i Ardeola mają mieć „w porze godowej pióra ozdobne na głowie, szyi i grzbiecie". Wymienione rodzaje czapli mają istotnie pióra ozdobne, ale nie na grzbiecie i nietylko w porze godowej. Str. 72. Rodzaj Botaurus ma upierzenie luźne". Co to jest? Str. 52. W charakterystyce rzędu Lamellirostres jest mowa, iż jego przedstawiciele mają w dziobie poprzeczne płytki. Gdzież w takim razie zaliczyć tracze, które mają nie poprzeczne płytki, tylko ząbki. Str. 74. O słonce czytamy „oczy z w r ó c o n e do tyłu"????!! Str. 80. Jako jedyną cechę rozpoznawczą bataljona podano, że samiec w porze godowej ma grzywę z piór. A jak rozpoznać samicę i samca w innej porze? Str. 80. Zupełnie niezrozumiała jest cecha rodzaju Uria: „szpara ustna dłuższa od głowy".

Na str. 50 autor pisze w odsyłaczu: „W nomenklaturze łacińskiej posługują się nazwami, przyjętemi przez Hartera, a odpowiadającemi prawu pierwszeństwa. Tylko wyjątkowo, dla łat-

wiejszego przeglądu, stosuję inne, prostsze określenia". Nomenklatura łacińska jest rzeczą ustaloną i uchwalone przez kongresy prawidła obowiązują wszystkich. Wszyscy też ornitologowie, z wyjątkiem dra Sokołowskiego, stosują się do tych prawideł. Robienie jakichś wyjątków nie jest wcale „łatwiejszym przeglądem", lecz wręcz przeciwnie, bałamuceniem czytelnika. Nie rozumiem również dlaczego n. p. Passer arboreus lub Aquila minuta ma być prostszem określeniem od Passer montanus, lub Aquila pennata?

Nie wiem skąd autor wziął nazwę drozda czarnoszyjego Turdus astrogularis, gdyż we wszystkich znanych mi podręcznikach jest T. atrogularis. Obok przytoczonych synonimów łacińskich podane są w skrócie nazwiska autorów, trochę niekonsekwentnie. N. p. Linneusz nigdy nie używał nazwy Corvus trivialis cornix, Trypanocorax frugilegus i t. d. Poważne zastrzeżenia budzi również podział systematyczny na wyższe jednostki systematyczne. Żaden z używanych podziałów nie jest oczywiście idealny, lecz każdy z systematyków stara się przez odpowiednie zestawienie grup odzwierciedlić ich pokrewieństwo i rysy rozwoju filogenetycznego. Zasadom tym jednak nie odpowiada zupełnie zastosowane przez dra Sokołowskiego złączenie w jeden rząd dropi i kuraków, nurów i alk.

Po „kluczu" następuje szczegółowy opis poszczególnych gatunków. Autor kładzie główny nacisk na stronę obyczajową, szczegóły obserwowane u ptaków chowanych i ochronę ptaków. Szczególnie ten ostatni temat, dobrze autorowi znany, jest mocno podkreślony. W opisach biologicznych istnieje pewna niewspółmierność pomiędzy gatunkami, znanymi autorowi z własnych obserwacji, a tymi, których sam nie widział. Należało w tym drugim wypadku uzupełnić nieco opisy na podstawie literatury, gdyż ograniczenie się do uwagi: „Ponieważ ptaka nie znam z obserwacji w wolnej przyrodzie, nie będę go opisywał bliżej" nie zaspokoją ciekawości czytelnika, który właśnie o rzadkich gatunkach radby się czegoś więcej dowiedzieć, a pozatem razi w dziele, zakrojonem na większą skalę. Opisy biologiczne zawierają wogóle dużo interesujących szczegółów lecz niestety także zasadniczych błędów i niedokładności.

Z ważniejszych wymienię: str. 172. Zdaniem autora potrzeszcz (Emberiza calandra) jest w Polsce wszędzie ptakiem wędrownym i na zimę odlatuje. W istocie jest jednak inaczej, bo w woj. lubelskiem, warszawskiem, kieleckiem, albo jeżeli oprzemy się na zdaniu Taczanowskiego i Domaniewskiego, to w całym b. zaborze rosyjskim i w całej Małopolsce potrzeszcz zimuje, a nawet w zimie jest liczniejszy, niż w lecie.

Przy sposobności muszę podkreślić, że dla mnie przynajmniej i dla wielu znanych mi ludzi, bardzo nieprzyjemnie brzmi stale przez dra Sokołowskiego stosowane określenie dla Polski środkowej „Królestwo Polskie", teraz, w 18 lat po odzyskaniu niepodległości.

Str. 266. Również sikorce czarnogłowej (P. atricapillus, u Sokołowskiego niewiadomo czemu P. salicarius) każe autor opuszczać Polskę na zimę, a pozatem uważa ją za ptaka „wogóle rzadkiego" i lubiącego szczególnie stare wierzby. Otóż sikora ta zimuje u nas licznie, w bardzo wielu okolicach (Polska środkowa, północna, wschodnia, Karpaty) jest bardzo liczna jako ptak gniazdowy, a przebywa obficie w lasach szpilkowych i mieszanych, nietylko na starych wierzbach. Str. 291. „Ze wszystkich drozdów droździk jest najmniej bojaźliwy". Wcale tak nie jest, jest to ptak skryty i ostrożny, trudny do podejścia, bojaźliwszy od innych drozdów krajowych, wyłączywszy może paszkota. Śpiew droździka został błędnie opisany. Str. 341. „Srokosz na zachodzie Polski należy do rzadkości". W następnem zdaniu jednak autor stwierdza, że w woj. poznańskiem stał się bardzo liczny. Również w woj. kieleckiem nie należy do rzadkości. A te okolice, to chyba zachód Polski? Str. 423. Dzięciołka (Dryobates minor) uważa autor za ptaka pospolitego w całej Polsce. Jest on wogóle nieliczny, w bardzo wielu okolicach niema go wcale.

Autor w kilku miejscach zaznacza, że znajomość geograficznego rozmieszczenia ptaków w Polsce jest słabo poznana i wielokrotnie trzeba się posługiwać przestarzałemi informacjami. Do pewnego stopnia tak jest istotnie, lecz niestety odnosi się wrażenie, że autor wielu nowszych prac ornitologicznych nie zna. Narazie, przynajmniej w kluczu, opuszczone zostały takie gatunki, jak orłosęp, głuptak, nur białodzioby, nawałnik burzowy, gęś Suszkina, gęś egipska, których okazy były w kraju zabite i są w zbiorach, na temat których, oprócz dwu ostatnich, istnieją publikacje. Skoro wymienione są gatunki o bardzo niepewnej przynależności do fauny krajowej, jak wróbla skalnego i kuropatwy górskiej, to należało i o tamtych wspomnieć.

Miejmy nadzieję, że jednak w tekście drugiego tomu zostaną one przytoczone.

Opisów wyglądu poszczególnych gatunków nie uważa autor za zasadniczą część swej książki i traktuje je pobieżnie. W takim jednak wypadku należało trochę więcej uwagi poświęcić cechom rozpoznawczym gatunków, bo określenia takie, jak: potężny dziób (str. 133, Grubodziób), wygląd dzikiego kanarka (str. 138, Kulczyk), lotki i sterówki biało obrzeżone (str. 141, Makolągwa). Ubarwienie podobne do krogulca (str. 395, Kukułka) — do rozpoznania gatunku niewiele pomaga. Kto zna wygląd dzikiego kanarka? Albo czy ubarwienie krogulca jest jakąś powszechnie znaną normą standartową? Na str. 124 podano pozatem, że czeczotka przypomina ubarwieniem makolągwę, co nie jest ściśle; te dwa gatunki różnią się znacznie *).

STANISŁAW ZIELIŃSKI

Z OBCYCH WYDAWNICTW.

„Zwyczaje myśliwskie". Książka, wydana nakładem firmy Uaul Parey-Berlin, jest pracą leśniczego W. Frevert'a; ozdobiona 33-ma ilustracjami według rysynków Buddenberg'a, Loebenberg'a i Wagner'a. Cena oprawnej Rm. 4.50, zbroszurowanej — Rm. 3.40.

Z polecenia ogólno-niemieckiego związku „Deutsche Jägerschaft" zebrane zostały i wydane przez W. Frevert'a niemieckie zwyczaje myśliwskie. Narodowy socjalizm w Niemczech oddawna wspiera prastare zwyczaje narodowe i otacza je szczególną opieką. Tradycje średniowiecznych bractw i cechów, dawne obyczaje wieśniacze i inne wejdą niebawem znowu do życia w społeczeństwie niemieckiem, w nich bowiem ukrywa się najgłębsza siła duchowa narodu. Kraj niemiecki jest bardzo bogaty w najróżnorodniejsze zwyczaje i tradycje, na co wpłynęła w znacznym stopniu, zgodnie z przysłowiem: „co kraj, to obyczaj", polityczna odrębność poszczególnych marchij i prowincyj; w dziedzinie myślistwa, jak zresztą w każdym kraju, różnorodność ta jest szczególnie obfita. Dużo z tego już wyszło z użycia, lub też zapomniano, lecz niemało jednak utrzymało się do dziś w narodzie. Zachowane zwyczaje myśliwskie, które stanowią jedną z najciekawszych odmian nawyków narodu, stały się powszechnem dobrem niemieckich myśliwych.

Treść książki, poprzedzona krótką przedmową Ulricha Scherping'a, składa się z następujących rozdziałów: Zwyczaje narodowe. Historyczny rozwój zwyczajów myśliwskich. Mowa, wierzenia i łacina myśliwska, pieśni myśliwskie. Dział ogólny: gruba zwierzyna: sarny, łosie, daniele, kozice, dziki i głuszce, drobna zwierzyna: sarny, zające, króliki, świstaki, lisy, rysie, wydry, kuny, tchórze, dzikie koty, bażanty, kuropatwy, dropie, cietrzewie, jarząbki, słonki, kaczki, gęsi i inne ptactwo błotne i wodne; ptaki drapieżne nocne i dzienne. Znaki i sygnały myśliwskie. Zwyczaje, stosowane po strzale. Sprawiedliwość i różne zwyczaje myśliwskie, Zdobycze i ozdoby myśliwskie, Leśne polowania z naganką, polowania w kotłach.

Zadaniem wydanej książki jest w pierwszym rzędzie ze zróżniczkowanych wskutek politycznego rozbicia państwa obyczajów myśliwskich, jakie się do ostatnich czasów zachowały, stworzyć jednolitą całość dla świata myśliwskiego, bez względu na poszczególne dzielnice kraju. Przynajmniej najważniejsze z nich powinny być dla całego narodu jednolite, a przedewszystkiem takie, jak mowa myśliwska, sygnały, znaki porozumiewawcze, rozkłady zwierzyny i t. d. Autor dba o rozwój tych zasad w jednolitej formie, a do zwyczajów myśliwskich przywiązuje podstawowe znaczenie. Dlatego też dziełko to potraktowane jest bardzo poważnie i stanowi dla myśliwych źródło zawsze aktualnych wskazań łowieckich, drogowskazów i wiadomości myśliwskich w celu wszechstronnego i jednolitego stosowania ich i rozpowszechniania w kraju.

Niemieccy myśliwi, zorganizowani w jednem towarzystwie

*) Mimo wszystkie braki, książkę dr. J. Sokołowskiego uważamy za bardzo cenny nabytek w literaturze ornitologicznej polskiej. *(Przyp. red.)*

„Deutsche Jagerschaft", będą mieli zatem jednakowe zwyczaje w całym kraju, wskutek czego zwiększy się niewątpliwie ich spójnia narodowa i utrwali się poczucie jedności. Czyni się to nietylko z uwagi na cześć przodków, nietylko dlatego, że tak czynili ich ojcowie i dziadkowie. Podstawą tego jest we krwi leżąca jedność z dawnym światem germańskim i wiara, że narodowy socjalizm przypomni całemu narodowi niemieckiemu istotę i znaczenie starych zwyczajów i tradycyj.

Polowanie jest pasją, przyjemnością, że tak powiem, namiętnością każdego myśliwego, toteż znaczenie zwyczajów myśliwskich dla dokładnego przeprowadzania polowań zbiorowych, czy łowów jest ważniejsze, niż dla innych czynności zawodowych. Bez tradycji i zwyczajów, bez mowy myśliwskiej, znaków i sygnałów całe myślistwo zeszłoby niewątpliwie na drogę sportu strzeleckiego i straciłoby wszystko ze swego dawnego uroku myśliwskiego, stałoby się bezmyślną namiętnością zabijania i nie mogłoby być etyczną czynnością, godną nazwy „szlachetnego myślistwa". Zatarłyby się nasze uczucia i przekonania, że przez upolowanie jelenia nie uzyskaliśmy kawała dziczyzny, czy kęsa mięsa, lecz że zdobyliśmy stwór boski, zasługujący i po śmierci na godne uszanowanie.

Myśliwskie zwyczaje i tradycje pokrzepiają myśliwych moralnie i uczą ich polować według ogólnie przyjętych zasad etycznych, zwalczając jednocześnie wszelkie namiętności t. zw. „strzelaczy". W przekonaniu, że, tak postępując, czynimy nie po myśliwsku, że ten sposób jest obcy prawdziwemu myśliwemu - hodowcy, polujący utrwalają sobie bezwiednie zwyczaje myśliwskie.

Stosowanie zwyczajów myśliwskich w czasie polowań wymaga specjalnego porządku i dyscypliny. Polowania i wszelkie z niemi związane czynności nie mogą być prowadzone według widzimisię jakiegoś leśniczego, lecz winny posiadać stałe, dla całego kraju jednakowe zasady, któreby powiększały urok i przyjemność tej czynności i zachowały powagę tej chwili. Dlatego też pożądanem jest nader, aby wszyscy z pod znaku św. Huberta przywiązywali wielką wartość do tradycyj i zwyczajów myśliwskich i nie lekceważyli myśliwskiej ceremonji. Niezabijanie jest najgłębszą myślą i powabem łowiectwa, lecz wysokie wartości etyczne, które czynią myślistwo największą rozkoszą człowieka, a ma to swój wyraz w myśliwskich zwyczajach i tradycjach.

W zakończeniu z pożytkiem może będzie nadmienić, że podobne wydawnictwo w języku polskim spotkałoby się z wielkiem zainteresowaniem wśród szerokich rzesz łowieckich i przyczyniłoby się niemało do spopularyzowania zwyczajów myśliwskich Polski, słynącej zagranicą od początku swego istnienia, jako kraj myśliwych. Z drugiej strony przez rozpowszechnianie i stosowanie przez myśliwych jednolitych w całym kraju łowieckich zwyczajów polskich, tak bardzo znanych na przestrzeni całych wieków, mających niejednokrotne wzmianki w historji, pogłębiłaby się odrębność polityczna kraju i zwiększyłoby się uczucie polskości w narodzie.

STEFAN M. MACKIEWICZ

DOBRE I ZŁE.

Zarząd Główny „Rodziny Kolejowej" troskliwie zabiega, aby członkowie tej ostatniej mieli poddostatkiem źródeł, rozszerzających ich wiedzę ogólną i umiejętność korzystania z praw, wskaźników i praktycznych rad, związanych z życiem prywatnem, utrzymaniem rodziny i wychowaniem młodego pokolenia kolejarza.

W ubiegłym roku pisałem na tem miejscu o ściennej gazecie „Rodziny Kolejarza", redagowanej przez p. Józefa Wł. Kobylańskiego, w której spotykamy między innemi również wiadomości przyrodnicze, a nawet łowieckie.

Dziś pragnę podkreślić zorganizowanie przez tę instytucję Kursu Korespondencyjnego „obywatelskiego przysposobienia rolniczego" pod redakcją dr. Władysława Rogowskiego.

Mam przed sobą dwa pierwsze wykłady: 1) „Rolnik, prawo i przyroda, a gospodarstwo ojczyste" i 2) „Jak prawo wspomaga rolnika w walce o przyrodę Polski". Oba te wykłady są pracą p. Grażyny Szmurłowej, adwokata, i stanowią pokaźne, wszechstronnie opracowane tematy.

Pierwszy z tych wykładów zawiera rozdziały, które szczególnie są sympatyczne dla ideowych przedstawicieli łowiectwa i ochrony przyrody, a mianowicie: Ochrona przyrody. Ochrona zwierząt. Ochrona ptaków, pożytecznych dla rolnictwa. O p r a w i e ł o w i e c k i e m. O rybołóstwie. Zalesianie nieużytków. O ochronie lasów. Drzewa przy drogach publicznych. Uprawa ziemi kolejowej przez kolejarzy. Odległość budowli, składów, zadrzewienia i robót ziemnych od linij kolejowych; zasłony odśnieżne i pasy ochronne przeciwpożarowe. Łącznie str. 80. Wykład ten zawiera prócz powyższej treści rysunki i tablice, a mianowicie: wzory bud dla psów, wzory domków gniazdowych dla ptaków, wzory karmików zimowych dla ptaków, wzór pułapki zatrzaskowej na drapieżniki, tablice tarła ryb, tablicę grzybów jadalnych i inne.

Nadto autorka wskazuje zainteresowanym szereg dzieł oryginalnych polskich z każdego działu, między innemi monografje zwierząt łownych i inne podręczniki — hodowlane i myśliwskie, a także zaleca „Łowca Polskiego".

Drugi z zacytowanych wykładów jest również ciekawy i pożyteczny, a zajmuje się wskazówkami z dziedziny walki ze szkodnikami rolniczemi — chwastami, grzybami, owadami, gryzoniami, a także z chorobami roślin hodowlanych. Łącznie z licznemi rysunkami str. 60.

Jeżeli przyjąć pod uwagę, że wykłady te rozchodzą się w ilości 4000 egzemplarzy, to stwierdzić należy, że inicjatywa ich przygotowania i rozpowszechnienia zasługuje ze wszech miar na wyrazy uznania.

Wśród kolejarzy wielu jest myśliwych, często obojętnych (jak i w innych warstwach społecznych) na zasady, idee i etykę łowiecką, a przeto dobrze się stało, że wykłady tego rodzaju, jak pierwszy dotrą do ich rąk i świadomości.

WUZET.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

WILD UND HUND

Nr. 31/1936 str. 517. Bar. v. Funck „*Organizacja i przygotowanie polowania z nagonką*"[*]). Właściciel czy dzierżawca łowiska, mający zamiar urządzić w okresie listopad—styczeń jedno lub dwa polowania z naganką na grubszą zwierzynę, powinien zabrać się do rzeczy już na 4—6 tygodni przed ustalonym terminem. Przedewszystkiem należy wznowić sobie w pamięci rozplanowanie obszaru łowieckiego i w tym celu spędzić niejeden wieczór nad mapą terenu w towarzystwie dokładnie obeznanego z łowiskiem łowczego, któryby wskazał główne stanowiska dzików, jeleni, danieli czy sarn, ich naturalną wagę (kierunek) przy zaniepokojeniu, najchętniej wybierane przesmyki. Oczywiście, że na tej podstawie nie można jeszcze z całą pewnością ustalić ruchu zwierzyny, gdyż wchodzi tu w grę jeszcze tak poważny czynnik, jak kierunek wiatru, którego nie sposób przewidzieć. Zaleca się w tym wypadku sporządzić dwa plany: w przewidywaniu zachodniego i wschodniego wiatru. W każdym razie, ponieważ zwierzyna płowa jest najbardziej wrażliwą na niepokój w lesie, należy pędzenie rozpoczynać od miotów z jeleniami. Mioty te powinny być dostatecznie głębokie, aby zwierzyna nie okazała się poza miotem i nie została przepłoszona. Jeżeli chodzi o dziki, to i tu pamiętać trzeba, iż najłatwiej dają się one wypchnąć z gąszczu do południa: pod wieczór, w oczekiwaniu zbawczego zmierzchu, zalegają tak mocno, że nawet dwukrotne przepędzanie miotu nie zdoła ich poruszyć. Wiara w ochronę gęstego zadrzewienia sprawia, że waga dzików będzie zawsze szła od jednego gąszczaru do drugiego. Na tej przeto drodze należy ustawiać myśliwych, unikając jednak stanowisk bezpośrednio pod ścianą zwartego młodniaka. Badanie tropów wskazuje bowiem, że dzik, w obawie wyjścia z gęstwiny na otwartą przestrzeń, a czując obecność człowieka, sunie chyłkiem wzdłuż linji i bądź wymyka się na boki, bądź przedziera przez naganke. Lepiej już jest ustawić myśliwych w głębi młodniaka, choć tu do strzału dojść może tylko bardzo wytrawny i szybko składający się strzelec.

Przechodząc do porządku miotów, należy kierować się dwiema zasadami: 1) wobec krótkiego dnia zimowego należy

dla uniknięcia straty czasu rozpoczynać pędzenia jak najbliżej punktu zbornego, względnie domu myśliwskiego, kończyć zaś je w części najbardziej oddalonej, gdyż powrót z polowania może się odbywać o zmierzchu; 2) mioty powinny iść w kolejności geograficznej, bez przenoszenia się z jednego końca terenu w drugi, aby w ten sposób zaoszczędzić zarówno myśliwym, jak i nagance, zbędnej włóczęgi, a zarazem nie niepokoić zwierzyny na całym obszarze. W zależności od szerokości miotów znajduje się ilość myśliwych, mogących brać udział w polowaniu. Trzeba ustalić liczbę maksymalną i minimalną i odpowiednio zabezpieczyć obecność uczestników, aby uniknąć zawodu i zamieszania. Dla sprawdzenia rodzaju i charakteru stanowisk dobrze jest udać się osobiście do lasu i tam w obecności łowczego obejrzeć każde stanowisko i poczynić zarządzenia, zapewniające myśliwemu najlepsze warunki strzału (ustawienie koszy, wycięcie wizjerek), powiadamiając go o miejscu znajdowania się sąsiadów, wreszcie wskazując kierunek zbiórki po miocie. Od charakteru stanowiska uzależnić trzeba następnie obsadzenie go przez tego lub innego myśliwego.

Stanowiska na przesmykach zwierzyny grubej, ale o małem polu widzenia, należy obsadzić przez strzelby dobre, któreby zwierza nie przepuściły, stanowiska z dużem polem obstrzału — dla starszych panów, wymagających ujrzenia zwierzyny z oddali i należytego przygotowania się, pozostałe — dla strzelb lichych. Aby nie tracić czasu należy dla przejazdu z miotu do miotu przygotować pojazdy zarówno dla myśliwych, jak i naganiaczy, przyczem w celu uniknięcia zamieszczania wskazanem jest zaopatrzenie woźniców w barwne oznaki, np. opaski na ramieniu, lub chorągiewki na wozie, odpowiadające barwie rozkładów miotów, doręczanych myśliwym. Dobrze jest zaopatrzyć woźnicę w mapę terenu z oznaczeniem miotów i stanowisk myśliwych danej grupy (barwy), dla możności poinformowania o tem interesujących się uczestników polowania.

Zwierzynę ubitą zbiera specjalny wóz. W połowie miotów należy przewidzieć przerwę na śniadanie, przygotowane uprzednio tak dla myśliwych, jak i dla naganki. Przed rozpoczęciem polowania gospodarz powinien poinformować uczestników o tem, do czego wolno strzelać, w jakich miotach czego można się spodziewać, jakiemi sygnałami będzie regulowany przebieg pędzenia, jaki jest podział myśliwych na oddzielne pojazdy, kiedy nastąpi śniadanie. Ustawiać myśliwych na stanowiska powinien łowczy, zaopatrzony w szczegółowy plan polowania, w mapę terenów z oznaczeniem stanowisk i z przydziałem na nie myśliwych. On też prowadzi ewidencję ubitej zwierzyny w miarę zakończenia każdego miotu.

J. G.

Jak donosi „Tribune de Genève" i inne pisma szwajcarskie, pewien Szwajcar wynajął w Czarnym Lesie teren łowiecki, niedrogi i z dobrym stanem zwierzyny. Sprawa jednak nie była tak prosta, jak się Szwajcarowi zdawało, bo po kilku dniach otrzymał list polecony z żądaniem władz niemieckich wylegitymowania się z czystej aryjskiej krwi. I dopiero po udowodnieniu metrykami, że w żyłach jego nie płynie nic żydowskiego, otrzymał formalne pozwolenie polowania.

W. K.

GDAŃSK O POLSKIM SEZONIE ŁOWIECKIM.

Październik i listopad są miesiącami żniwa dla myśliwych. Ruja jeleni, która właścicielom jelenich rewirów, lub myśliwym, mającym szczęście polować na wysokorożną zwierzynę, sprawia rozliczne niezapomniane rozkosze myśliwskie, minęła już coprawda, ale rozpoczęły się już dawno polowania na zające, które dla większej części myśliwych, poza kuropatwami, stanowią jedyny rodzaj zwierzyny, na którą mają sposobność polować. Gospodarczo zając jest najważniejszym rodzajem zwierzyny w Europie środkowej; wartość odstrzelanych rokrocznie zajęcy jest w większej części krajów największą wśród innych zdobyczy myśliwskich.

Utarł się wśród gdańszczan słuszny pogląd, że jelenie, daniele i sarny Polski zachodniej i północno-zachodniej, przy osiągnięciu odpowiedniego wieku, należą do najpotężniejszych w Europie. W ich ocenie poroża jeleni z tych okolic przewyższają niejednokrotnie rogi jeleni karpackich.

Osiemnastak, ubity przez leśniczego Schoelzel'a w okolicy Nowegomiasta i Pucka, okazał się nadzwyczajnym. Ocena jego według systemu Nadler'a wykazała 221 punktów, gdy największa liczba punktów Nadler'a wynosiła dotychczas 241. Długość rogów po krzywiźnie wynosi 102 cm., waga — 7,5 kg.

Pomimo doskonale rozwiniętych poroży znajdują się znamiona, które świadczą, że jeleń ten nie osiągnął jeszcze najwyższego punktu swego rozwoju. W porównaniu ze zbiorami poroży ostatnich dziesiątków lat z całej zachodniej Europy oraz z olbrzymiemi historycznemi rogami jelenia ze średniowiecza, znajdującemi się w gdańskim pałacu, można stwierdzić, że ten jeleń z Polski północno-zachodniej był na najlepszej drodze do osiągnięcia równych, a nawet większych zalet.

W nowszych czasach zdobyto na Pomorzu w okolicy Sypniewa równie pięknego jelenia, którego poroża ważyły 8 kg., oraz wyjątkowo rozwiniętego w ciele — wagi 235 kg.

Polowanie na kuropatwy staje się w październiku trudniejsze, gdyż gorzej trzymają się już one stadka; lecz zato są lepiej wyrośnięte i wynagradzają utrudnione polowanie swą jakością. Polowanie na kury w tym okresie jest najlepszą okazją do sprawdzenia stanu zajęcy w rewirze, gdyż przeszukując teren dla odstrzelenia kilkunastu kuropatw, spotyka się częściej zające, niż kuropatwy.

Celowo jest lustrację terenu urządzać pewnego dnia przed zmianą pogody, którą można na dwa trzy dni przewidzieć na stacjach meteorologicznych. Takiego dnia — przed zmianą pogody — zające są bardzo ruchliwe i przy pomocy dobrego psa można łatwo uzyskać dokładne dane o stanie zajęcy w rewirze.

Tylko na podstawie systematycznych takich lustracyj terenu można zawyrokować, czy według posiadanego stanu zajęcy przyszłe zimowe polowania z naganką będą pomyślne lub nie. Obserwacja natomiast tylko podczas polowań na kury dla wydania takiego zdania nie wystarcza.

Polowanie z naganką, urządzane przez pewnych strzelców w rewirze o słabym stanie zajęcy przy odpowiednich okolicznościach może stan zajęcy zupełnie zrujnować. W rewirach hodowlanych dla drobnej zwierzyny łownej większych posiadłości na Śląsku utarła się reguła urządzać na zające polowania z naganką co trzeci rok. Rezultaty polowań w tych rewirach są o wiele większe, niż tam, gdzie polowania odbywają się rokrocznie.

STEFAN M. MACKIEWICZ.

KUROPATWY NA DRZEWIE.

Dnia 18 czerwca r. b., przechodząc przez sad, zauważyłam kuropatwę, siedzącą na czereśni, zjadającą dojrzewające owoce. Chciałam to rzadkie zjawisko dokładniej obserwować i zbliżyłam się ostrożnie na kilka kroków do drzewa. W tym momencie jednakże kuropatwa mnie zauważyła i odleciała na pobliskie pole, a z nią razem zerwała się z drzewa druga, której przedtem nie widziałam.

Pragnęłabym jeszcze dodać, że sad w Baszkowie łączy się z obszernym parkiem, w którym rokrocznie kilka par kuropatw wyprowadza silne stadka młodych. Do parku przylegają pola uprawne.

Zdarza się podobno, że kuropatwa, wystraszona lub goniona przez drapieżniki, siada na drzewo. W opisanym wypadku jednakże nie zachodziła prawdopodobnie konieczność schronienia się, gdyż w pobliżu sadu jest dużo niskich zarośli, a drapieżników prawie że niema.

Poza tem swobodne zajadanie czereśni świadczyłoby o tem, że kuropatwy upatrzyły sobie smaczne czereśnie, jako dodatkowy pokarm lub smakołyk.

OLGIERDOWA KS. CZARTORYSKA

---

*) Poniżej przytoczone uwagi dotyczą głównie polowań przy czarnej stopie.

KŁUSOWNICTWO.

(-zet-) W lasach dóbr Lusin, powiatu gostyńskiego, w połowie listopada doszło do walki pomiędzy gajowymi i kłusownikami, którzy od dłuższego czasu grasowali w tych lasach.

Czterej gajowi urządzili obławę, a po napotkaniu kłusowników zostali zasypani salwami strzałów, wskutek których wszyscy czterej zostali poranieni śrutami.

Gajowi odpowiedzieli strzałami, poczem, pomimo odniesionych ran, rzucili się w pogoń za kłusownikami, i zdołali schwytać czterech: Franciszka Kowalczyka, Józefa Zuryńskiego, Dyonizego Malczaka i Bolesława Makowskiego.

Wszyscy schwytani oddani zostali do dyspozycji władz za usiłowanie zabójstwa i uprawianie kłusownictwa.

*

(-zet-) Gajowy lasów maj. Berdówka, pow. lidzkiego, Adam Zapaśnik, obchodząc swój rewir, napotkał znanych kłusowników Władysława Garbacza i Władysława Bubienia, którzy, wezwani do zatrzymania się, wystrzelili do gajowego, raniąc go dość poważnie.

O incydencie zawiadomiono władzę policyjne

*

(-zet-) W czasopiśmie „Na posterunku" z dnia 22 listopada ub. r. ukazała się wzmianka p. t. „Sprytny kłusownik — sprytniejsza policja", w której posterunkowy policji Stanisław Malewski opisuje sposób schwytania z bronią kłusownika, o którym bardzo długo wiedziano, że uprawia zawodowo ten proceder, lecz nigdy go z bronią w ręku nie spotkano, ani też zarządzone wielokrotnie rewizje w jego obejściu gospodarskiem nie dały żadnego wyniku.

Pomysł policjantów polegał na tem, że pewnej nocy obudzono sąsiada kłusownika, zawiadamiając, iż na pobliskiej łące jego kuma (kłusownika), chodzą cudze konie, przyczem polecono mu zawiadomić o tem właściciela łąki.

Sąsiad ów podszedł pod okno kłusownika, obudził go stukaniem w szybę i oznajmił o szkodzie w łące. Policjanci stanęli tymczasem na ganku z obu stron drzwi.

Jak przewidywano, kłusownik wyszedł na ganek ze strzelbą na ramieniu i w jednej sekundzie został rozbrojony.

Autor podaje tylko pierwszą literę miejscowości O. i imię, oraz pierwszą literę nazwiska kłusownika, Stefana J. — ale rzecz miała miejsce przed laty.

Dla nas ciekawy jest tu podstęp sprytnych posterunkowych, który został uwieńczony dobrym skutkiem.

*

(-zet-) Do jednego z ostępów lasów Ordynacji Dawidgródeckiej wybrało się kilku kłusowników ze wsi Chorsk na obficie tam występujące dziki.

Jeden z nich, Maksym Lisowiec, po niefortunnym swym strzale do dużego odyńca, którego prawdopodobnie ranił, został przez dzika zaatakowany i fatalnie poturbowany.

Lisowca w beznadziejnym stanie odwieziono do szpitala.

*

(-zet-) W Krzyżkowicach na G. Śląsku na tereny łowieckie własne Jana Krakowczyka i Józefa Grzegorzka zachodzili często kłusownicy, których właściciele postanowili schwytać.

Gdy nastąpiło spotkanie i pościg za kłusownikami p. Krakowczyk postrzelił niejakiego Alojzego Szoena z Krzyżkowic.

Dochodzenie w toku.

*

(-zet-) W Jastrzębiu na G. Śląsku niejaki Piotr Trunk spotkał dwóch kłusowników ze strzelbami w rękach. W wyniku pościgu udało się Trunkowi zatrzymać obu kłusowników, którymi okazali się Paweł Szrank z Ruprowy i Emil Kajzerek z Pielgrzymowic. Pociągnięto ich do odpowiedzialności.

*

(-zet-) W dniu 6 grudnia ub. r. na terenie wsi Braciejówka pow. olkuskiego właściciel p. Kazimierz Kluczewski napotkał trzech kłusowników, uzbrojonych w strzelby, których usiłował wylegitymować.

Jeden z kłusowników wystrzelił do p. Kluczewskiego, raniąc go nabojem śrutowym. Ranny w obronie własnej strzelił trzykrotnie do kłusowników, którzy jednak zdołali zbiedz.

Dochodzenie policji ustaliło, że w lesie pozostał krwawy ślad na drodze uciekających kłusowników, których obecnie poszukują.

*

(-zet-) Na polach wsi Gałkowice Stare gm. Parzniewice (G. Śląsk) patrol policyjny zauważył pięciu kłusowników, za którymi wszczął pościg.

Jednego z nich, Stanisława Szymanka ze wsi Gałkowice Stare ujęto, odbierając mu strzelbę pojedynkę własnej konstrukcji, którą skonfiskowano.

Pozostali zdołali zbiedz.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W dniu 23 i 24 listopada odbyło się polowanie w Osieczu Wielkim, pow. Włocławek, u Witolda hr. Broel Platera, przy udziale 10 myśliwych. Ubito 531 sztuk i z uznaniem zauważyć trzeba, że stan zwierzyny z roku na rok się poprawia, co jest wybitnie zasługą gospodarza, który zaprowadził bażanty, a kłusownikom i drapieżnikom energicznie przeciwdziała.

— U p. Jana Lipskiego w Lewkowie, pow. ostrowski, odbyło się doroczne polowanie dn. 25 i 26 listopada, w którem wzięło udział 8 myśliwych. Ubito około 460 sztuk, głównie bażanty i zające.

— Dn. 14 i 15 grudnia odbyło się polowanie w Łagiewnikach, pow. Krotoszyn, u p. Franciszka Przyłuskiego. Udział w niem brali pp. Jan hr. Plater, Jan hr. Szołdrski, gen. Jarnuszkiewicz, ordynat Jan Taczanowski hr.hr. Stefan i Marjan Czarneccy, major v. Oertzen. Ubito zajęcy 930, bażantów 1485, królików i różnych 158, razem 2.573 sztuki. Rozkład Marjana hr Czarneckiego był największy i wyniósł 456 sztuk.

Łagiewniki cieszyły się zawsze opinją bardzo dobrego łowiska i miłego, gościnnego przyjęcia, toteż każdy myśliwy z przyjemnością z zaproszenia państwa domu, korzystał. Wspaniałe rezultaty łowów ostatnich lat przypisać jednak trzeba specjalnym staraniom młodego gospodarza, p. Stanisława Przyłuskiego. Jest on nietylko dobrym myśliwym, ale także fachowym i zamiłowanym hodowcą zwierzyny, oraz doskonałym organizatorem polowania, co tłomaczy te pomyślne rezultaty w łowisku, obejmującem circa 1500 hektarów.

— Dnia 5 i 28 listopada odbyły się polowania u Zygmunta hr. Czarneckiego w Rusku. Udział w polowaniach brało po 7 myśliwych. Ubito dn. 5.XI 578 sztuk, dn. 28.XI 595 sztuk. Największe rezultaty osiągnął na obu polowaniach p. Stanisław Przyłuski z Łagiewnik.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie zł. 2,50. — Numer pojedynczy 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł.
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa

NAJWIĘCEJ OGŁOSZEŃ

wśród prasy lokalnej wielkiego obszaru Województw: Lubelskiego i Wołyńskiego posiada od szeregu lat dziennik

„EXPRESS LUBELSKI I WOŁYŃSKI".

Bo doświadczeni inserenci wiedzą, że ogłoszenia pomieszczone w tym dzienniku dają należyte rezultaty.

XIV rok wydawnictwa.

Najwyższy na tych terenach nakład.

Egzemplarze okazowe, prospekty, szczegółowe oferty i plany kompanji ogłoszeniowych, opinje dotychczasowych inserentów odwiedziny akwizytorów — na każde żądanie.

Adres wydawnictwa: LUBLIN, Kościuszki 8, tel. 23-60. • **Informacje w Warszawie przez telefon 9-28-82.**

NA SEZON ZIMOWY



polecamy

znakomite naboje śrutowe

W. S. M. „Jubileuszowe"

ładowane pierwszorzędnym bezdymnym prochem „Sokół"

PAŃSTWOWEJ WYTWÓRNI PROCHU W PIONKACH

SPRZEDAŻ w WARSZAWSKIEJ SPÓŁCE MYŚLIWSKIEJ

w Warszawie
ul. Królewska 17

i w ODDZIAŁACH:

Poznaniu	**Lwowie**	**Wilnie**
Pierackiego 12,	Plac Marjacki 4,	Wileńska 10

ORAZ WE WSZYSTKICH SKŁADACH BRONI



Egz. od 1861 r.

Skład i Fabryka Broni
J. SOSNOWSKI w Warszawie
sp. z o. o.
Krak. Przedm. 7, tel. 647-47

Poleca strzelby:
G. Delourny-Sevrin à Liege
A. Fergeron „
A. Francotte „
Lepage „

Sztucery, Trójlufki
G. Delourny-Sevrin à Liege
J. Nowotny Praha

Duży wybór strzelb okazyjnych i komisowych

Warsztaty reperacyjne.

Ceny i warunki przystępne — Katalogi ilustrowane bezpłatnie.

MYŚLIWSKIE:

KURTKI, BURKI, PELERYNY, WIATRÓWKI, DAMSKIE I MĘSKIE; PLECAKI, CHLEBAKI I T. P.

POLECA FIRMA

„STRÓJ SPORTOWY"

WARSZAWA, UL. MARSZAŁKA FOCHA Nr. 1
PRZY HOTELU RZYMSKIM.
PRACOWNIA NA MIEJSCU. CENY NISKIE.

P R A C O W N I A

WYPYCHANIA PTAKÓW I ZWIERZĄT

ORAZ OPRAWA ROGÓW, WYPRAWA SKÓR I ROBIENIE DYWANÓW

WIKTORA ŁASTOWSKIEGO

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 10 m. 7
(wprost kościoła Ś-go Krzyża) Telefon 686-78



SKŁAD BRONI I AMUNICJI

Rusiecki i Dziedzic

WARSZAWA, UL MARSZAŁKOWSKA Nr. 97
w pobliżu Dworca Głównego
TELEFON 726-18

POLECA: DUBELTÓWKI, SZTUCERY, KARABINKI I PISTOLETY PIERWSZORZĘDNYCH FABRYK ORAZ DUŻY WYBÓR BRONI OKAZYJNEJ

WŁASNE WARSZTATY RUSZNIKARSKIE WYKONUJĄ WSZELKIE NAPRAWY SZYBKO DOKŁADNIE I TANIO

Bażanty, dzikie **króliki,** oraz rośliny pastewne dla zwierzyny i sadzonki leśne poleca **Zarząd Lasów XX Czartoryskich w Babkach** poczta **Krzesiny,** Wielkopolska. Prosimy żądać bezpłatnych cenników!

Gajowy bażantarnik, górnoślązak lat 30, żonaty, zna wszelkie wykonanie prac leśno-gospodarczych według planu, dobry hodowca zwierzyny i tępiciel drapieżników, szuka posady nawiększy obszar. Oferty dla Nr. 2210.

Leśnik bażantarnik (szkoła leśna), lat 27, kawaler poszukuje posady leśnika hodowcy zwierzyny, hodowli sztucznej i dzikiej. Pierwszorzędny tępiciel drapieżników i kłusowników, od samej młodości przy ojcu swym łowczym, który pracował 24 lata w Krośniewicach. Przyjmie posadę od zaraz, lub 1/IV 1937 r. Wymagania b. skromne. Łaskawe oferty, Bolesław Łysiak maj. Łubno, p. Krośniewice.

Tanie kupna okazyjne! 1 sztucer podwójny Bock fy. Greifelt i Co. Suhl kal. 9,3x74 Express z lunetą Zeiss. Zielvier 4 X strzał pierwszorzędny cena zł. 1150. **1 bezkurkowy sztucer** podwójny kal. 9,3x82 w dobrym stanie, strzał dobry, cena zł. 300. **1 Bockówka** kal. 16 6.5x 48 jak nowa zł. 550. **2 Eżektorki** kal. 12 fy. Greifelt i Co. dobry strzał, jak nowe sztuka zł. 750. **Specjalność:** Sztucery z najwyższą gwarancją kal. 7 i 8 mm. Sztucery dubeltowe, drylingi z jedną i dwiema lufami do kul. Sztucery repetierowe oraz automaty. Precyzyjne montowanie lunet i wstrzeliwanie oraz wszelkie naprawy w własnych warsztatach przez specjalistów. Specjalne artykuły dla myśliwstwa i do sportu wędkarskiego. **Eugeniusz Minke, Poznań** Kantaka 7, tel. 2922

10 myśliwych szuka dzierżawy terenu łowieckiego na Polesiu lub Wołyniu, względnie jednorazowego odstrzału na zimowem polowaniu. Proszę o podanie ceny ryczałtowej lub płacimy za każdy oddany strzał do dzika, wilka lub rysia. Reflektujemy na 3 — 6 dniowe polowanie. Koszta osobno. Bliższe szczegóły, rezultaty ostatnich lat do Redakcji „Łowca Polskiego" pod „gruby zwierz". Reflektujemy tylko na pierwszorzędne łowiska.